



**ŚWIATEŁKO.**

---

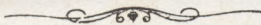
**PISEMKO**

poświęcone

**MATKOM i DZIECIOM**

przez

**Emmę z Kurowskich Puffke.**



**Poszyt IV.**





**LESZNO.**

Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera.

---

**1 8 6 2.**





WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA



## **Treść:**

Kilka słów o wykształceniu moralném córek naszych.

Hrabia Karól Montalembert.

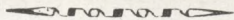
Rzut oka na odmłodzone Włochy.

Jałmużna i miłosierdzie. Powieść.

Listy z podróży.

Afra, czyli: Dwie Missyonarki. Powieść dla dzieci.

Pożegnanie Miąskowa.





## Kilka słów o wykształceniu moralném córek naszych.

---

**W**ychowanie religijno-moralne jest jedyną podstawą godności i szczęścia człowieka, lecz jest niezaprzeczenie jedném z najtrudniejszych zadań na świecie. Nie można dosyć rozważać i przemyślać nad tém, w jakiby najłatwiej sposób osiągnąć można cel tak wzniosły i szczytny. Niechajże kilka rad, które są owocem długoletnich doświadczeń i spostrzeżeń, będą laskawie przyjętemi od kochanych współrodaczek naszych.

Mówić tu zamysłam tylko o płci naszej, bo matkom są tylko córki wyłącznie do kształcenia zostawione. Synowie nasi zostają tylko krótki czas pod opieką macierzyńską, a dobre przymioty, któreśmy zasiały w ich sercach w pierwszych latach ich życia, rozwijają się zwykle pod obcém okiem w późniejszych latach młodziana. Szczęśliwa matka, która niezanedba tego, dopóki pora, bo później rady jej tracą często swą wartość i nie na wiele się zdadzą.

Chronić dziewczęta od wad i błędów rozmaitego rodzaju, jest zaiste równie ważnym przedmiotem wychowania moralnego, jak kształcenie w nich różnych potrzebnych płci naszej zalet, bo atmosfera, która niestety otacza prawie od kołyski niewiasty, jest tak dla nich zgubną i szkodliwą, tak rady i zdania, które od małości słyszą, są podchlebne wrodzonym skłon-

nościom każdej niewieście, iż największej potrzeba baczości, by je ustrzedz od przykładów, któremi zewsząd są otoczone.

Pierwszym warunkiem wychowania moralnego, jest bez wątpienia prawda i szczerłość. Te dwie nierozdzielne od siebie cnoty, powinna każda matka pielegnować jak najstaranniej w sercach swych córek, bo bez nich nie masz właściwie żadnej egzystencji moralnej dla człowieka, a przedewszystkiem dla niewiasty. Wiemy, jak smutne skutki fałszywość i niewiara u mężczyzn ściągają nietylko na pojedyncze osoby, ale nawet na całe narody. Lecz mężczyzna wciągniony czasem przez bieg okoliczności w te niecnoty, może się jeszcze poprawić, może się podźwignąć w opinii publicznej i przekonać świat czynami o szlachetności swych uczuć. Lecz niewiasta postradawszy raz zaufanie w swą prawość, już go odzyskać nie zdoła. Nic nie zdoła jej uchronić od wzgardy, a nawet w własnej rodzinie doznaje wstrętu i oziębłości, bo nikt nie może szanować osoby, której ufać i wierzyć nie można.

Każda więc niewiasta powinna jak najusilniej starać się o nabycie tych cnót tak koniecznych i ważnych. Wszelka obłuda, fałsz i udawanie, powinno być wygnane z serca naszego, bo one są skazą niezmasaną każdej rozumnej istoty, i ciągną za sobą poczet niezliczony wad i występków.

Lecz niestety widzimy często, jak niewiastom na pozór bardzo dobrze wykształconym i ułożonym, zbywa na tej cnocie; jak uśmiech słodki i miły ukrywa serce fałszywe, pełne obłudy i złości. Jest to nawet powszechnie przyjętém mniemaniem, iż niewiasty skłonne są do udawania i obłudy. Cóż może być dla nas bardziej obrażającym, jak ów grzeczny uśmiech

niedowierzania, z jakim są często słowa nasze przyjmowane, tam nawet, gdzie świadectwo nasze wielką mogłoby mieć wagę, dla tego powinnyśmy okazywać się zawsze szczeremi i nigdy w jakimkolwiek bądź zdarzeniu nie ominąć się z prawdą, by te raz przeciwko nam powzięte przesady zagłuszyć i zniszczyć.

Przypatrzwszy się uważnie wychowaniu, jakie pobierają córki nasze, niepodobno byłoby niespostrzedz, iż zarody tych dwóch cnót, które Bóg w serce każdego położył człowieka, są w nas już od dzieciństwa niszczone, tłumione. Matki, zwłaszcza wyższych warstw społeczeństwa, nie karzą za nie bardziej swych córek, jak za naturalne wybuchy weselości; natomiast zalecają im ciągle myślenie o sobie, spokojną, poważną postawę, która w tym wieku koniecznie udaną być musi. Wyszędłszy z pierwszych lat dziecinnych bywają dziewczęta otoczone ciągłym przymusem towarzyskim, który się aż na ich ubiór rozciąga. Ten przymus jest to już początkiem udawania, i nie wiele do tego potrzeba, iż się w obłudę przeistoczy. W tym to już także czasie dziewczynki zaczynają odbierać pochwały, grzeczności, podchlebstwa od nierozsądnych mężczyzn, „panience trzeba wszystko wybaczyć, paniątkom należy się wszędzie pierwszeństwo“; te i tym podobne mowy objają się ciągle o uszy młodych dziewcząt i wzniecają w ich sercach pragnienie coraz to większych tryumfów, uwielbiań, które starają się osiągnąć przez rozmaite udawania, przymilania się i zalotności, gdy tymczasem tracą przez to naturalną dziecięcą szczerłość i prostotę.

Tutaj to bystre oko matki powinno czytać w ich sercu, powinno umieć rozróżnić ich małe fałszy od uczuć szczerych i prawdziwych, i starać się każdą nie-

szczerłość ostremi kary wytępiac. Lecz jakże my często błądzimy w tój mierze! Byle tylko córki nasze niekłamaly widocznie, przebaczymy im chętnie małe udawania, ukrywanie zazdrości pod miłym uśmiechem, obłudę uważamy za uprzejmość towarzyską, małe złośliwości mienimy dowcipem; kiedy czasem małe kłamstwa, popęlnione ze strachu lub dzieciństwa, mniej mają złego wpływu na ich charakter, aniżeli to obłudne udawanie uczuć, których nie mają.

Pod tym względem wychowanie w licznej rodzinie, gdzie bracia i siostry pod równymi zostają prawami, ma wiele dobrego za sobą. Sprawiedliwość i prawda będąc jedynymi środkami do utrzymania tam równowagi, staje się, że tak powiem, drugą naturą członkom takiej rodziny. Matki powinny wprawdzie już od małości wzbudzać w synach szacunek dla godności niewiast i przestrzegać tego już w obchodzeniu się ich z siostrami, lecz nigdy w obecności córek niepowinny mówić z synami o tém, bo przez to nabierają one zarozumiałości i zbytniego mniemania o sobie.

Przedewszystkiem powinnyśmy więc czuwać jak najbaczniej nad prostotą serca córek naszych, bo od tego zależy cała prawość ich sposobu myślenia; powinnyśmy zgłębiać każde ich uczucie i nigdy nie dać się omamić pozorom. Niechaj w stosunku naszym z córkami największa panuje otwartość i szczerłość; niechaj one każdą myśl swoją, każde swe uczucie, śmiało powiedzieć nam mogą, bo tylko przez to nieograniczone zaufanie zdołamy prowadzić je śmiało na drodze cnoty i strzedz je od wszelkiego możebnego upadku.

Dziewczyna, która przed matką ma tajemnice,

która kryje przed nią swe uczucia, stawszy się żoną, będzie je miała zapewne i przed mężem, nie będzie nigdy pocziwą i dobrą żoną, i stanie się istotą jedną z najnieszcześniejszych na świecie. Jeden sławny mędrzec powiedział: „Aby niewiasta była szczęśliwą, najpewniejszym do tego środkiem jest, by nie miała żadnych tajemnic przed mężem.“ W tych słowach jest zawarta wielka nauka, którą zaiste niejedna z nas powinna głęboko w pamięci zachować.

Wychowując córki nasze w prawdzie, sprawiedliwości i szczerości, zrobimy z nich niewiasty mężne i stałe, zdolne niejedną przetrwać burzę, godne zajmowania ważnego stanowiska, do którego powołane są od Boga, a przez to zabezpieczymy im spokojność serca w tém życiu, i chwałę i szczęście w wieczności.

Drugim bardzo ważnym warunkiem wychowania moralnego, jest kształcenie od młodości w dziewczynkach rozsądku i słusznego sądu o rzeczach, a strzeżenie ich jak najtroskliwsze od wybujałej wyobraźni, od zbytnej skłonności do marzeń i dumań. Ta wada, która także jest jedną z najczęstszych zwłaszcza u niewiast z wyższego stanu, i na którą zbyt mało zwraca się zwykle uwagi, ściąga na nas nierządno rozmaite nieszczęścia i boleści. Niewiasty jej podległe mają z nią do walczenia w wszystkich stosunkach życia, często aż do późnej starości. Widzą one wszystko w jakimś wymarzoném świetle, ludzi, stosunki, nawet własne dzieci. Szukają doskonałości, gdzie ich nie masz i być nie może, widzą ideały, często niestety w zbyt poziomych istotach, a gdy nakoniec przekonać się muszą, iż się myliły, czują się dotknięte boleśnie, i wiele trosk i cierpień splywa na ich życie, które przy zdrowym rozsądku i nieco zimnej

rozwagi, bardzo znośnym byćby mogło. Dziwnie, że często niewiasty z najlepszym sercem, pełne wzniosłych i pięknych uczuć, podlegają téj smutnej wadzie umysłowej i wpadają przez nią w błędy nieraz i występki, które sprowadzają na nie i ich rodziny rozmaite przykrości, a nie rzadko hańbę i upadek.

Córki majątnych rodziców, czy to w mieście, czy na wsi żyjące, skazane są już przez swój stan do prowadzenia życia beczynnego, próżniaczego. Pannienka ukończywszy nauki, zastaje dom rodzicielski po większej części tak urządzony, iż dla niej zwykle nie w nim nie zostaje oprócz bawienia się, strojenia, zajmowania drobnymi robótkami, czytania i próżnowania. Matka lub najemna gospodyni zarządza domem, panny służące krzątają się około jój ubioru, służący zważają na każde jój skinienie. Czémże wtenczas ma zajmować się jój młody czynny umysł, jój ciało potrzebujące ruchu i pracy? Zwłaszcza, jeżeli jest dobrą, kochającą z przyrodzenia, jeżeli nie jest samolubną i prózną, jeżeli nie ma wrodzonej skłonności do uciech i zabaw, jeżeli jój się niepodoba być ciągle otoczoną zgrają młodzieży, o których wie, iż tylko jój majątek ich wabi, wtenczas przekłada nad to wszystko samotność, marzy, дума, wystawia sobie świat inny, wzdycha za istotami innymi niż te, które ją otaczają, czuje się niezmiernie nieszczęśliwą i jest nią rzeczywiście. Szczęście jeszcze, jeżeli ma tak rozsądnych rodziców, iż jój niedozwolą oddawaniu się jednę z najgubniejszych dla młodej dziewczyny namiętności, to jest czytaniu romansów, bo wtenczas jój wyobraźnia nabywa tém szkodliwszych żywiołów; a straciwszy czystość uczuć serca, podpada tém łatwiej wszelkiej pokusie, i już nie jedna

przyplaciła nietylko szczęściem całego życia, lecz nawet zdrowiem i życiem tę smutną chorobę duszy.

Temu, jak każdej innéj potrzebie, zapobiegnie najłatwiej wychowanie religijne. Dziewczyna wychowana w prawdziwéj pobożności, rozezna łatwo właściwe swe powołanie na ziemi. Kochać Boga, a w nim jego stworzenia, być użyteczną swym bliźnim, oto są zasady, których naucza nas Ewangelija św. Pracuj i módl się, powiedział Chrystus; więc która te przykazania zrozumiała i zachowała je w swém sercu, ta postara się pomimo stosunków, pomimo przesądów światowych, o utworzenie sobie pola działania, i będzie czynną i użyteczną swym bliźnim, zaniechawszy wszelkich niepotrzebnych marzeń, odrzuciwszy od siebie owe zgubne ideały, co ją mamily i czarowały zwodniczo.

Trzeba więc od najrychlejszéj młodości wystrzegać dziewczynki od téj niebezpiecznéj skłonności do marzenia, zajmować je ile możności pracą użyteczną, rozmawiać z niemi rozsądnie o Bogu i ludziach, nie unosić się nigdy zbyt wyżej nad przymiotami jednych, lecz innych nie potępiać za wiele. Trzeba im zawsze wystawiać życie na tym świecie jako pielgrzymkę, prowadzącą do innych wznioślejszych celi. Nie napawać ich rozkoszami, zabawami, lecz owszem okazywać im ile możności ich nicość i marność. Kiedy koniecznie wymagają po tobie stosunki, w których żyjesz, byś córkę twą w świetne prowadziła towarzystwa, mów jéj, wróciwszy z nich, jak niepotrzebną stratą czasu, jak ulotną przyjemnością są te chwile w szale tańca spędzone, do jak daleko ważniejszych zatrudnień powołaną jest w tém życiu niewiasta. Jak błachemi są te wszystkie hołdy i ubóstwiania, któremi zwykle obsypywaną bywa piękna młoda dziewczyna, jak one razem z jéj pięknnością znikają niby

dym przemijający. Że tylko cnota i prawość sposobu myślenia mają wartość w oczach tego Sędziego, zarazem najdobrotliwszego i najsurowszego, przed którym każda istota stanąć kiedyś musi.

Ale niestety, jakże wiele jest pomiędzy nami matek, które same znajdują największą przyjemność w tych uciechach światowych, które zajęte wyłącznie strojem i odwiedzinami, wzbudzają w swych córkach od najrychlejszej młodości ten smak tak zgubny, i działają przez to przeciw najświętszym powinnościom.

Znajomą to rzeczą, iż posłuszeństwo jest jednym z głównych warunków wychowania. Jednakże jest ono dla dziewczynek daleko jeszcze ważniejszym niżeli dla chłopców; bo ono jest właściwie źródłem łagodności, słodyczy i cierpliwości tych cnót, tak nieodbicie każdej niewieście potrzebnych. Chłopcy oddani do szkół publicznych są wiedzeni więcej przez reguły ogólne, mniej przez wolę pojedynczych osób.

Kobiety są przeciwnie przeznaczone czasem do znośzenia przez całe życie posłuszeństwa osobistego. Kiedy to jest ich losem, więc je od małości przyzwyczajać trzeba do niego. Trzeba je uczyć, by umiały ustępować bez szemrania, by swą wolę umiały poświęcać stosunkom, okolicznościom, nawet czasem niesłusznym wymaganiom. Spokojność ich duszy, wesołość serca, pogoda umysłu, a nawet zdrowie, zależą od wychowania w posłuszeństwie i skromności. Młoda dziewczyna, która kocha i poważa swą matkę, słucha ją już dla tego, by ją zadowolnić, i to uczucie uszczęśliwia ją i ulepsza. I w tém to posłuszeństwie leży zaród owego wzniosłego wyobrażenia o powinności, które także jest jednym z ważnych przedmiotów wykształcenia moralnego. Myśl silna i żywa, iż słuchamy Boga i woli jego zadosyć czynimy,

zachowując prawa, które natura lub zobowiązanie dobrowolne włożyły na nas, oto jest to, co nam dodaje mocy w najprzykrzejszych stosunkach, i czyni, iż kobieta zachowuje swą godność choćby na pozór w najbardziej poniżającym posłuszeństwie. To wzniosłe wyobrażenie o powinnościach, jest właściwie cechą duszy wzniosłej i pięknej, w jakichkolwiek znajduje się ona stosunkach na ziemi.

Ożywiając w naszych córkach to uczucie, wzbudzamy w nich więcej jeszcze przez to przymiotów, rezygnacyą, pobłażliwość, a przede wszystkim cierpliwość, ten święty balsam na wszystkie boleści ziemskie. Bo jakże te cnoty potrzebne nam są nieledwie w każdej chwili życia naszego! Do zmienności losów przylączają się jeszcze różnoliczne kaprysy ludzkie, by nam zatruwać to życie! Oczekiwania omylone, nadzieje zawiedzione, życzenia nieuiszczone, uczucia wzgardzone, z tego to po większej części składa się pasmo dni naszych. Ileż to cierpień, ileż boleści, ile upokorzeń trzeba połykać w milczeniu. Lecz z cierpliwością i poddaniem się woli bożej nic nam trudnem nie będzie. Przeciwności doznane w dzieciństwie, są drobnostkami z temi, których w późniejszym doznajemy wieku, jednakże są one zbawiennem do nich przysposobieniem. Nie mówimy, by matki sprowadzały umyślnie przykrości na córki swoje, lecz niech tylko dadzą wolny bieg życiu, a znajdą ich się dosyć. Niechaj tylko matka nie stara się nigdy w lepszem, niż jest istotnie świetle, wystawiać przed córką położenia swego; niech ona zna, ile trosków, ile mozolów mają rodzice, by utrzymać dom i gospodarstwo w porządku, by dorobić dziatkom majątku. Ta jeszcze oprócz tego wyniknie z tego korzyść, iż obchodząc się z nią z zupełną otwartością,

można się téjże saméj po niéj spodziewać. Jeżeli w domu twoim bywają młodzi ludzie, którzy się o rękę twéj córki starają, mów z nią o tém otwarciu. Staraj się poznać dokładnie uczucia twéj córki, a potém objaśni ją o wadach i przymiotach tego, który chce zostać jéj mężem. Niechaj ona tak będzie przekonaną o słuszności twego zdania, iż nawet ta myśl w jéj głowie nie powstanie, by mogła inny zrobić wybór, jak ten, co ty za rozsądny uznasz. W tym to właśnie razie okazuje się w całkowitém świetle ważność wykształcenia rozsądnego, bez żadnych wymarzonych fantastycznych wyobrażeń i ideałów. Rozsądna dziewczyna wybierając męża, nie szuka w nim żadnych nadzwyczajnych przymiotów, uważa na prawosć sposobu myślenia, zdolność zapracowania na porządne utrzymanie rodziny, a nigdy na powierzchowne zalety, jakimi są wykwintny ubiór, dobre wzięcie salonowe, piękność postaci, i tyle tym podobnych nicości, które zwykle dziewczynom bez gruntownego wykształcenia moralnego zawracają głowę, i pogrążają je tak często w otchłanie nieszczęścia.

Panowanie nad sobą samą, jest także niezbędnie potrzebnem każdéj niemal niewieście. Chociaż wymagamy po niéj słodyczy, łagodności i posłuszeństwa, żądamy jednak także silnéj woli, przytomności umysłu i niezłomnéj niczém decyzyi, i to są właśnie owe zalety sprzeczne pomiędzy sobą, o których wspomnieliśmy w przeszłym naszym artykule.

Nie cierp u twéj córki tonu pewnego, rozkazującego, zarozumiałości w czynie i słowie, lecz strzeż się, byś ją niezrobiła niezdolną do żadnego monego postanowienia. Młodą niewiastę otaczają tyle pokus, tak ślizgą jest droga cnoty, na której ma postępować, że słabość charakteru, zbytńia lękli-

wość i tkliwość, mogą się bardzo stać dla niej zgubnemi.

Jeżeli uważasz, że córką twoją wacha się w każdym zdarzeniu, że ma słabą i niepewną wolę, że nie jest zdolną zaradzić sobie samej i da się pierwszemu lepszemu powodować, staraj się umieścić ją w położenie, gdzie koniecznie sama sobą zarządzać będzie zmuszoną. Daj jej zupełną wolność działania, usunięj od niej twą rękę, lecz oko twe niech ją strzeże. W tym razie przepisy ogólne przyjdą jej ku pomocy, i zastąpią niejako władzę macierzyńską. W Ewangelii św. znajdzie ona przykłady i przepisy, które ją napominać będą z słodyczą, jakiej słabe jej potrzebuje serce.

Cheąc jeszcze więcej tak na pozór przeciwnych sobie skreślić przymiotów, potrzebnych do wykształcenia moralnego niewiastom, trzeba by w zbyt różnoliczne odcienia obrazek nasz przybrać. Lecz powiemy w krótkości, iż duch rad naszych łatwym jest do zrozumienia, bo on jest duchem chrześcijaństwa. Kontrasty, połączone w harmonijną całość, tworzą właściwy charakter nauki ewangelicznej i zbliżają do doskonałości niewiastę, wykonywającą wiernie jej przepisy. Przy wychowaniu, zdaniem naszym, mniej zależy na tem, by nauczać, jak się mają przepisy moralności wykonywać; lecz by ukształcić duszę, charakter, jednem słowem istotę moralną, która się w każdym położeniu znaleźć i swą godność zachować potrafi, u której harmonija uczuć odbijać się będzie w każdej czynności, jakakolwiek będzie droga, na którą Bóg ją zawiedzie. A to doskonale moralne wykształcenie można tylko przez dokładne poznanie i wierne zachowywanie przepisów świętej religii chrześcijańskiej osiągnąć.

Rozmaite powody ludzkie mogą różne w nas wzbu-

dzień cnoty, lecz gdzież znaleźć ognisko moralności, jeżeli nie w uczuciu religijném?

**E. P.**

## Hrabia Karól Montalembert.

Rzadko nam się to zdarza, by cudzoziemcy, nawet z narodów, które czują dla nas sympatyę, umieli godnie być nasz polityczny osądzić, a rzadziej jeszcze, by kto głośno i śmiało za sprawą naszą przemawiał. Dla tego czujemy tém większą wdzięczność dla okazujących nam jakisłkolwiek współdział. Jednym z mężów, którzy nam dali dowody téj sympatyi, jest niezaprzeczenie hrabia Karól Montalembert. Wielu pomiędzy nami miało szczęście w przeszłym roku poznać osobiście tego męża, który pod każdym względem zasługuje być policzonym do najświetniejszych ludzi wieku naszego.

Te krótkich chwil kilka, które w przeszłym roku spędził pomiędzy nami, zawdzięczamy właściwie jego pracom literackim. Wydaje on bowiem dzieło, które uwiekopomni go zapewne jako pisarza katolickiego: „*O wpływie, jakie klasztory wywarły na oświatę Europy*“, dla tego szukał także w klasztorach naszych potrzebnych mu do tego materyałów. Po powrocie swoim wydał dziełko pod tytułem: *Naród w żałobie*, które niejedna z czytelniczek naszych zapewne z przyjemnością czytała. Dla tego będzie może dla nich nie bez zajęcia, słyszeć niektóre szczegóły z życia tego męża.

Rodzina Montalembert jest historyczną we Francyi, znana już od czasów wojen krzyżowych. Wydała wielu sławnych bohaterów i ludzi uczonych.

Szczególniej odznaczył się Andrzej Montalembert, który pod panowaniem Ludwika XII. i Franciszka I. tak się wslawił, iż król Franciszek I. zwykł był mawiać: „We Francyi trzech tylko jest ludzi, ja, Montalembert i Chateignerie. Ten Montalembert zginął na polu chwały przy oblężeniu Turenny.

Dwieście lat później Marek Montalembert odznaczył się wielkimi czynami w siedmioletniej wojnie przeciwko Niemcom. Wymyślił nowy system fortyfikacyi, a ten wynalazek, obok wielu uczonych dzieł, których był autorem, zjednał mu przyjęcie jako członka honorowego do akademii sztuk pięknych w Paryżu. Podczas owej wielkiej rewolucyi francuzkiej odebrano mu dobra i wygnano go z kraju, lecz w czasie konsulatu został przywołany napowrót i przyjęty do komitetu wojennego. Tutaj był przez niejaki czas współzawodnikiem Napoleona Wielkiego; lecz odgadując w nim olbrzyma swego wieku, ustąpił mu miejsca zawczasu. Oprócz swych rozpraw o wojnie, pozostawił bardzo zajmujące listy, lekkie poezye, temata do oper i t. p. ulotne pisemka. Jego żona, panna Commerie, była aktórką, lecz przy tém odznaczała się także pracami literackimi i dotąd jej romanse uchodzą za bardzo dobre we Francyi.

Syn tego Marka Montalembert, a ojciec naszego hrabiego Karóla, był pułkownikiem pod panowaniem Ludwika XVIII., posłem i panem, która to godność przeszła prawem dziedzictwa na syna.

Karól Montalembert urodził się dnia 21. Maja 1810. Wykształcenie naukowe pobierał w Paryżu w Liceum, i tam to właśnie zaczerpnął tę odrazę do monopolu, a miłość ku wolności uczenia, jako téż i zbyteczną swą szczerłość, którą sobie sam często zarzuca. Ton, jaki wówczas panował w szkołach paryzkich, niebył

chwalebny, a wrażenia przyjęte w młodości towarzyszą człowiekowi przez całe życie, pomimo wykształcenia rozumowego, często nawet pomimo szlachetności i dobroci serca. Jednakże u niego nie zdołały te wrażenia przytłumić i zagłuszyć wychowania religijnego, które w domu rodzicielskim odebrał.

Ksiądz Laménais był wówczas wyrocznią kościoła. Pan Montalembert wszedł do jego szkoły razem z panem Lacordaire i Gerbetem. Do roku 1830. wszystko szło dobrze, dopiero po ówczesnej rewolucyi zaczęły się owe spory o wolność uczenia, których organem był czasopism *Przyszłość*, redagowany przez czas niejaki przez ojca Laménais. Pan Montalembert, będąc zagorzałym stronnikiem wolności uczenia, postanowił wykonać w czynie to, co inni piórem i argumentami wywalczyli się starali.

Złączywszy się z kilku przyjaciółmi, najmuje pomieszkanie na ulicy Tournon, i bez niczyjego pozwolenia zakłada szkołę, zwołuje do niej pierwsze lepsze po ulicy się włóczące dzieci i rozpoczyna z nimi naukę. I otóż widzimy z abecadłem w rękę ludzi tak wielkich zdolności, przeznaczonych do zabierania kiedyś najpierwszych miejsc w ojczyźnie. Lecz dwudziestoletni nauczyciele nie długo mogli się cieszyć swą szkołą, sami ostrą lekcję odebrali od policyi.

Zamknięto szkołę, i skazano ich na znaczną karę pieniężną. Sprawa wytoczyła się przed izbę parów, bo pan Karól Montalembert, którego ojciec był właśnie umarł, zasiadał tam z prawa urodzenia, i nie mógł być gdzieindziej sądzony; jego zaś współnicy nie mogli być odłączeni od niego. Wszyscy więc musieli stawić się w pałacu Luksemburg, gdzie wówczas była izba parów.

Po pięknej mowie, jaką pan Montalembert na swą

obronę powiedział, osądzono, iż mu zbywa na zda-  
tności na nauczyciela elementarnego. Skromni więc  
bakalarze zostali skazani na stanie się sławnymi mów-  
wcami. Lecz daremnie uśmiechali się ironicznie ich  
ówcześni sędziowie. Z czasem okazało się, że to, co  
im się zdawało dzieciństwem i próżnym hałasem, miało  
wielki wpływ na przyszłość. Zapal młodocianny prze-  
ważył roztropność dojrzałego wieku. Ci, których  
miano za zwyciężonych, odnieśli przecież zwycięstwo,  
bo okazali przez to swe cele i zasady, i zapewnili  
na przyszłość powodzenie swęj sprawie. Pan Mon-  
talembert po dwudziestu latach widzi dojrzewające  
owoce, których ziarno zasiał w sprawie szkolnej na  
ulicy Tournon.

Wkrótce potem zaszły owe znane uczonemu światu  
nieporozumienia pana Lamenaus z Ojcem świętym.  
Pojechał do Rzymu w towarzystwie swych dwóch  
uczni, Montalemberta i Lacordaira, by Ojcu świętemu  
przełożyć tendencje swego czasopisma „Przyszłość“.  
Wszyscy trzej przybyli do Lyonu właśnie po straszli-  
wych dniach Listopada. Całe miasto drżało jeszcze  
pod wpływem tych dni okropnych, a bruk ulic był  
jeszcze krwią zbryzgany. Była to straszliwa nauka  
dla wzniciających rewolucją religijną. Zrobiła także  
wielkie wrażenie na młode umysły dwóch uczniów,  
lecz niezdolna zmiękczyć dumnego serca ich mistrza.  
Tutaj też to po raz ostatni nazywali go imieniem ojca.  
Po powrocie z Rzymu usunęli się od niego, a zosta-  
wiając go przy rewolucji zostali wierni zasadom po-  
słuszeństwa.

Pan Montalembert poświęcił się odtąd literaturze  
i wiele pism ważnych i uczonych wyszło w tym czasie  
z pod jego pióra.

Dla nas to jest w tém najbardziej zajmującego,

iż tłumaczył wiele z pism naszego wielkiego Mickiewicza. Jedną z jego powieści jest także życie świętej Elżbiety, księżniczki węgierskiej, z której to rodu ma żona jego pochodzić.

Lecz sława jego jako mówcy przewyższa jeszcze jego sławę literacką. Szczególniej odznacza się zawsze pan Montalembert w obronie sprawy naszej, a tą szlachetnością uczuć, broniąc naród tak uciśniony, zjednał sobie wdzięczność i uwielbienie w sercach naszych. Jego wymowa wywiera wpływ nieporównany nawet na tych, przeciw którym walczy. Z spokojnością i powagą, cechującą zwykle męża szlacheckich uczuć i prawych obyczajów, z głęboką znajomością świata i stosunków ludzkich, która czyni umiarkowanym pocisk jego ironii, objawia on śmiało prawdę, niełękając się żadnych nagan opinii. Jest on obrońcą religii i wolności ludów, i walczy jako żołnierz chrześcijański. „Nie występuję jako mówca, lecz jako żołnierz do ataku“, powiedział raz wchodząc na mównicę. Idzie też istotnie z swą bronią naprzód jako żołnierz, wołając: „Oto jestem, za mną uciśnieni!“ Nie czeka aż uciśnieni przybędą go błagać o pomoc, pełen uczucia sprawiedliwości broni Polaków, Węgrów, Włochów, Syryjczyków, Negrów. Wyższy nad wszelkie godności przez urodzenie, stanowisko i talent, władzca własnego losu, walczy przeciwko niesprawiedliwości i nie lęka się nikogo. Gdy jest pytany o swe nazwisko, odpowiada: „Powieм wam je, jest ono wielkiem jak świat, nazywam się katolikiem.“

I tak gonił on przez lat piętnaście za tą ukochaną wolnością, którą mu unoszono zasłoniętą przed oczu. Wystawiając ją sobie w całej jej idealnej piękności, wzywał i uwielbiał ją ciągle. Można sobie wyobrazić jego bolesć i rozczarowanie, gdy w roku 1848,

po upadku jej przywłaszczy ciela, pan Montalembert ujrzał to bóstwo swoje z wzrokiem iskrzącym ogniem zabójczym, z nienawiścią w ustach, z pochodnią zapaloną w rękę, i gdy poznał w niej okropny potwór wojny domowej.

Wtenczas to w miesiącu Lipcu r. 1849. wymówił on ową *Amende honorable*, której dźwięk odbija się dotąd w Europie; a rozszerzywszy swe przekonanie, przeszedłszy z uczuć do zasad, z zapалу do wyrachowania, ugiął kolano przed nowym bóstwem, a tém jest wyższa władza. Bóstwo, które nigdy nie omyliło chrześcijanina, i które prowadzi za sobą wolność piękną i prawdziwą, bez miecza i pożogi.

Pan Laudon tak wystawia w jednym z pism swoich pana Montalemberta:

„Na mównicy ukazuje się człowiek przyjemnej postaci, średniego wzrostu, włosy jego rozdzielone na czole spadają w kędziorach na ramiona, ręce jego spoczywają spokojnie na krawędzi mównicy. Delikatne i piękne rysy, pogodny i dowcipny wyraz twarzy, oczy błyszczące zapalem przekonania, ujmują mimowolnie serca słuchaczy. Zaczyna mowę głosem spokojnym, czystym i mocnym. Rozkład jego mowy jest urządzony w sposobie kazania. Zaledwie wymówi kilka zdań, a słuchacze czują się zachwyceni, porywani jego pięknymi wyrażeniami. Jest to mówca z przyrodzenia! Mówi z naturalną wytwornością, bez żadnej przysady, bez żadnego przymusu; nadaje swym wyrażeniom niezmierną rozmaitość, przytacza zajmujące zdarzenia. Jest to zarazem mówca, pisarz i artysta. Jest tak pewien siebie, iż nie go zmieszać nie zdoła, owszem opozycya zdaje się nowych sił mu dodawać. Władą on sarkazmami i ironiją, jak żaden w świecie. Zaiście strasznielko. Poszyt IV.

szliwym byłby on satyrykiem, gdyby zamiast chrześcijaninem był filozofem! Nakoniec zchodzi z mównicy i przyjmuje z nieudaną skromnością, nawet z niechęcią, pochwały, które się zewsząd nań sypią.“

Pan Montalembert jest niezrównanym w obrazowaniu. Tylko pan Lamartine, mógłby iść z nim w zapasy. Przejmującym jest jego porównanie, gdy mówi o naszej ojczyźnie. „Naród podbity jest wciśniony w wnętrzości narodu pogromcy, jak rana głęboka, nigdy się zagoić niemogąca.“ W innym miejscu przyrównywa go do olbrzyma przytłoczonego Etną. „Chciano zgładzić naród“, powiada znów inną razą, „a utworzono z niego wulkan, który ciągłym bucha ogniem.“ Błagając Francją za wygnanym z Rzymu Papieżem tak się wyraża: „Właśnie to słabość Ojca św. jest dla nas siłą niezwalczoną. Gdy mężczyzna walczy z niewiastą, ona mówi: „uderz, lecz zhańbisz się przez to.“ Kościół jest więcej niż niewiastą, jest to matka nasza! Jest to matka Europy i całej ludzkości. Chociaż się jest synem niewdzięcznym, jest ona przecież matką naszą. Przyjdzie czas, w którym ta walka stanie się ludziom nieznośną, a na tego, który ją rozpoczął, spadnie przeklęstwo rodzaju ludzkiego. Nieśmiemy tu więcej wspominać na polu polityki, chcieliśmy tylko mowy pana Montalemberta pod względem retoryki ocenić i rozebrać.

Zakończemy ten obrazek krótką wzmianką o życiu domowym tego wielkiego człowieka. Jest on otoczony co wieczór gronem przyjaciół, składających się z ludzi najznakomitszych w religii, sztukach pięknych, literaturze i polityce. Dwa dzieci piękne jak aniołki bawią się u stóp młodej, pięknej i uprzejmej matki. Wśrodku salonu stoi wazon z białego kamienia, areydzioło sztuki snycerskiej, napełniony kwia-

tami, pomiędzy któremi kołyszą się przyswojone ptaszęta. Okna osłonięte są karmazynowemi adamaszkowemi firankami, na ścianach wiszą piękne obrazy, kopije Rafaela, kilku innych sławnych malarzy włoskich, i pomniejsze obrazki, wystawiające zdarzenia z życia Ś. Elżbiety. Wszystko tu oddycha cnotą i spokojem życia domowego, szczerością, otwartością i tą uprzejmością dawnych czasów, która coraz to bardziej znika z salonów wielkiego świata. Takim jest życie domowe pana Montalemberta. Jeżeli usłyszysz tam słowa żywe i czyste jak krynica, teńące otwartością jak pogadanka poufna, a wytwornie dobrane jak w książce, obróć się, słyszysz zapewne mówiącego pana Karóla Montalemberta.

K o n i e c .

## Rzut oka na odmlodzone Włochy.

(Wyjątek z dziennika rannego Polaka.)

*Warenną, dnia 13. Września.*

Piszę do ciebie siedząc na kwiecistej terasie, w cieniu kwitnących oleandrów i pnącego się wina. Wszystko wokół mnie jest cicho i samotnie. Tylko wały jeziora, które wczoraj podczas burzy huczały przeraźliwie, dziś mruczając jednostajnie przerywają powszechnie milezenie. Mruczają one tak samo, jak mruczały przed dwoma tysiącami lat, za czasów Pliniusza starszego, który właśnie z tych miejsc, z nad brzegów swego od bogów ulubionego Lacus Larius, nie jeden list do swych przyjaciół w dalekim Rzymie datował. Z drugiej strony terrasy siedzi młoda żona mego gospodarza, Signora Julia Marcioni, je-

dna z najpiękniejszych Włoszek, jaką kiedy oczy moje widziały, rozmawiając z młodym czarnookim Medyolancykiem, który tu u pobliskich wód jest na kuracyi z odebranych ran w boju za wolność, i tutaj codziennie na śniadanie przybywa. Walczył pod Garibaldim w Sycylii i Kalabryi, i odebrał ogromną ranę w głowę, która przez czaszkę aż do oka sięga.

Oprócz tego młodziana jest tu jeszcze młody maestro (mistrz muzyki) z Neapolu, który w tej zaciszy komponuje nową operę, mającą być wkrótce graną na teatrze w Neapolu. Ten nasz jedyny gość nazywa się Gaetano Braga; w Wiedniu i Paryżu już jego opery były wykonywane na scenie i przyjmowane z tak wielkim zapalem, jak niegdyś Rossiniego. Jest on powszechnie uważany, jako najslawniejszy artysta odmłodzonych Włoszech. Zabawi tu jeszcze kilka tygodni, gdyż jest ulubieńcem nietylko całej rodziny, ale całej okolicy, dla swój nieznużonej wesołości i rzadkiej sztuki zabawiania towarzystwa. Gdy my jeszcze wszyscy zrana spoczywamy w najlepszym, on schodzi w swój czerwonej bluzie *à la Garibaldi* na terasę, wyśpiewując pięknym głosem rozmaite ustępy z swych oper, lub zaczyna grać na fortepianie stojącym w salonie, co wychodzi na terasę. To znów wszczyna rozmaite rozmowy z przejeżdżającymi po jeziorze na targ do miasteczka Marconni żeglarzami, lub recytuje jaką scenę z posługującym Cameriero; słowem, jeśli o kim, to o nim powiedzieć można, *qu'il a le diable au corps*.

Przedwczoraj zgromadziło się tu przeszło 30 osób, znajomych moich gospodarzy z Milano i Commo, co tu nie jest żadnym ciężarem dla gospodyni domu, bo Włochy nie sobie z jedzenia i picia nie robią, zajęci całkiem zabawą. Nasz młody maestro ukazał

się tu w całym blasku swego niezrównanego humoru. Do niepojęcia mi było, z kąd stało mu siły do naśladowania w najśmieszniejszy sposób wszystkich niemal artystów i śpiewaczek słynniejszych. Gdy oświadczyłem moje podziwienie jednemu z młodych przybyłych oficerów, krewnemu mego gospodarza, jak to podobno, by kto przez cztery godziny mógł bez ustanku śpiewać i żartować, ten odpowiedział mi z uśmiechem: „On już u nas całe rano podobne wyprawiał dowcipy.“ Zaiste te dzieci południa daleko wytrwalsze z przyrodzenia od nas mieszkańców północy!

Jest on przy tém niezmiernie gruntownie wykształcony w swym fachu. Mówi z zadziwiającą znajomością rzeczy o wszystkich niemal kompozytorach europejskich. Mozart, Weber i Beethoven, są to jego pokrewne genjusze, o których mówi, jak o swych braciach. Gdyśmy późno w noc przejeżdżali się w gondoli po jeziorze, niezmordowany artysta śpiewał nam jeszcze śliczny śpiew: „Żeglarz powracający.“ Ta melodia, którą przed kilku laty słyszałem z ust osoby droższej mi nad życie, wzbudziła we mnie tak rzewne uczucia, że przez całą noc zasnąć nie mogłem.

*Dnia 15. Września.*

Wczoraj zrobiłem nader zajmującą znajomość. Powróciwszy z rannej przechadzki w góry, na której szczycie wznosi się starożytny dworzec Warena, zastaliśmy w salonie gościnnym wesoło palący się ogień na kominie, a przy nim ogrzewała się piękna jakaś młoda pani i mężczyzna w sile wieku.

„Ten ogień nie pali się dla mnie, tylko dla méj żony“, mówił uniewiniając się niejako młody człowiek, po którego przyjemnej i zajmującej postaci

łatwo można było rozpoznać artystę. „Przepędziliśmy całą noc dzisiajszą na jeziorze. Jam przywykły do takich podróży nocnych w deszczu i slocie, lecz moja Signora pierwszą taką odprawia podróż.“ Gdy tych słów domawiał przyniesiono nam zaprosiny od Signory Marcioni na poobiedzie do przejażdżki po jeziorze. Mieliliśmy się udać do willi znajomego jój Marchese Angeli, którąśmy już dawniej zwiedzić umysłili. Młody nieznajomy oświadczył, iż nazwisko Marcioni jest mu dobrze znanem, i że przybył w myśli zwiedzenia grobu jednego ze swych przyjaciół, znajdującego się w téjże willi. Tak od słowa do słowa dowiedzieliśmy się, iż malarz nazywał się Girolamo Induno, i był bratem sławnego Dominika Girolamo, którego obrazy miałem sposobność podziwiać na wielkiej wystawie paryzkiej. Przyjaciel, do którego grobu malarz odprawiał pielgrzymkę, był to ów sławny doktor Go . . . ., rozstrzelany przez oficerów austriackich, o czém później nadmienię.

Girolamo Induno jest rodem Lombardezyk. Lombardezycy różnią się spokojném i poważném usposobieniem od innych Włochów. Zbliżyliśmy się do siebie i zapoznali prędko z tą poufałością, jaką tak stan polityczny, jako i religija, sprowadza pomiędzy Polakami i Włochami. Nie może on mieć więcej nad lat trzydzieści, jest średniego wzrostu i bardzo pięknej twarzy. Cała jego postawa technie przyjemną prostotą i otwartością, lecz zdradza zarazem pół żołnierza, pół artystę.

W dziewiętnastym roku życia walczył on pod chorągwią Garibaldiego w roku 1848. W roku 1855. odprawił jako artysta kampanią w Krymie i zajmował się malarstwem aż do roku 1859., gdzie znów odrzucił pędzel i paletę, uchwycił za broń i pobiegł

za głosem ukochanego wodza. Z ówczesnych czasopismów wiedziałem już, jak ten artysta odważnie walczył w Rzymie, od niego zaś samego dopiero dowiedziałem się o jego cudowném ocaleniu z krwawej utarczki z Francuzami. Z jednym towarzyszem broni stał on w dolnym salonie na straży, gdy Francuzi napadli na willę. Jego towarzysz został zabity od pierwszego wystrzału kuli. Onego zaś otoczyli Francuzi, niemilosiernie pokłuli bagnetami, i rozumiawszy, że już nie żyje, wyrzucili oknem na ogród. Jednakże jego siły żywotne przemogły zawziętość nieprzyjaciół. Girolamo przyszedł do zmysłów i okryty przeszło trzydziestu ranami zawłókł się do swoich, gdzie jego rany opatrzone i żadna z nich niebyła śmiertelną. Po kilku tygodniach był Girolamo znów do służby zdolny.

O Garibaldim mówił z wyrazem najszczerzego szacunku. „Jest człowiek z lwią odwagą, a sercem dziecięcém“, dodał. „Nie ustraszą go szeregi nieprzyjaciół, lecz da się łatwo uwieść każdemu, kto się pod maską przyjaźni i miłości ojczyzny zbliża do niego. Jego przygoda z panną Teresą Raimondi jest tego jasnym dowodem.“ Zapytałem go, co to za przygoda, a on tak mi ją opowiedział:

„Właściciel jednej z najpiękniejszych willi nad jeziorem Como, Markiz Raimondi, miał jedyną córkę, odznaczającą się nietylko wielką pięknnością, ale i gorliwym patryotyzmem. Gdy Garibaldi w roku 1859. stał z swém wojskiem w górach pomiędzy jeziorem Como i Lago-Maggiore, udało jój się poznać osobiście tego bohatera, dla którego udawała zagorzałe uwielbienie. Wyświadczyła mu nawet niemałe przysługi, donosząc o siłach i stanowisku Austryaków. Jój patryotyczne poświęcenia, odwaga, z jaką ta młoda he-

roina narażała się na kule nieprzyjaciół, ubóstwianie, z którym się piękna niewiasta wcale nietała, zrobiły wielkie wrażenie na sercu bohatera, który nie mógł wątpić o jej szczerości.

Teresa nieukrywała się wcale z chęcią zostania żoną wielkiego męża, owszem oświadczyła mu sama, że żyć bez niego nie może. Przeprowadziła go do tego, że założył swą główną kwaterę w domu jej ojca, i przez to uловиła go całkowicie w swe sidła. Garibaldi liczy przeszło lat 52, ona więc więcej niż o połowę młodsza od niego. Jednakże myśl, iż stanie się mężem jednej z najznakomitszych cór swjej ojczyzny, która go kocha zagorzale i uprzyjemniać mu postanowiła miłością i przyjaźnią ostatnie dni życia, miała niepowściągniony urok dla starego bohatera. Przymtem serce jego niedoświadczone w miłości było pełne dziecięcego zaufania. Jego ukochana żona Anita, która z takim poświęceniem wszelkie jego losy dzieliła, nieżyła już od lat dziesięciu, jego syn i córka dawno wyrosli i daleko byli od niego, Teresa więc zdawała mu się przeznaczoną, by zapełnić próżnię, którą śmierć ukochanej żony zostawiła przy nim; nakoniec ciągle zapewnienia Teresy, iżby nieprzeżyła, gdyby miała być wzgardzoną, zniewoliły go, iż przystał na ożenienie się z panną Raimondi.

Kilka listów bezimiennych, które go przestrzegały, by się strzegł zdrady, podarł Garibaldi w prostocie serca i nie o nich niewspomniał.

W piękny jeden dzień świąteczny odbył się solennie ślub w kościółku parafialnym willi w obec kilku przyjaciół bohatera i panny młodej. Powróciwszy z kościoła zastano w domu konnego posłańca z Bergamo, który przybył niestety zapóźno, by ostrzedz bohatera. Dawny jego przyjaciel donosił mu w li-

ście, który mu oddał posłaniec, iż ta niewiasta oszukała go haniebnie, że jest kochanką jednego piemontckiego oficera, a że ten się z nią żenić nie może, więc usidliła starego bohatera, by jego nazwiskiem pokryć swą hańbę. Był to cios bolesny dla wielkiego wodza. Opuścił natychmiast wilę Raimondi i udał się bez wszelkiego towarzystwa do Genui, gdzie wsiadł na okręt i odплыł do swjej skalistej wyspy Caprera. Gdy się to rozgłosiło król oddalił natychmiast z wojska owego oficera, który by ocalić swe życie przed kulami stronników Garibaldiego, uciekł do Anglii, a teraz żyje z swoją kochanką w jakimś zakątku Szwajcaryi.“

Zapytałem się, czy zdarzenie to wywarło jaki wpływ na Garibaldim? „Tylko z początku“, odpowiedział mój artysta, „był bardzo smutny i ponury, jak mi jego przyjaciele wspominali. Lecz to nie trwało długo. Jego dusza znanadto jest przejętą miłością ojczyzny i wolności, by ją takie osobiste wrażenia długo niepokoić mogły. Jestem pewny, że w przeciagu kilku miesięcy zapomni o pannie Raimondi, jak gdyby jēj nigdy nie było na świecie.“

Po obiedzie pojechaliśmy z naszą uprzejmą gospodynią do miasteczka Marconi, które ozdobne było całe w barwy trzykolorowe, bo przybyły pułkownik z Medyolanu robił przegląd gwardyi narodowej, która się tutaj składa z ludzi od lat 18—36. Mężczyzyna od lat 37 aż do sześćdziesięciu tworzą gwardyą rezerwową. Energija i roztropność, jaką rząd nowy wszędzie okazuje, jest zaiste uwielbienia godna. Jednakże wiele tu jeszcze do czynienia w wydziale szkolnym, który jest w bardzo zaniedbanym stanie. Nasz przyjaciel, Neapolitańczyk de Sanetis, terażniejszy minister oświecenia królestwa włoskiego, którego mia-

łem przed pięciu laty sposobność poznać na wygnaniu, jako nauczyciela języka włoskiego przy uniwersytecie w ZÜRICH, będzie miał nie mało do czynienia, chcąc tu wzbudzić życie i światło.

Zapytałem się, czy to duchowieństwo nie zajmuje się kształceniem młodzieży, jak w innych krajach katolickich. Lecz dostałem na to odpowiedź, która w tak niekorzystnym świetle wystawiła duchowieństwo włoskie, to jest księża żyjących po wsiach i małych miasteczkach, iż ją tu zamileżeć wolę. Przeniosłem się myślą do naszej ukochanej ojczyzny i z radością porównywałem, jak o wiele lepiej u nas pod tym względem.

Nasi księża zdają się poznawać coraz lepiej ważne swe stanowisko w narodzie, zwłaszcza w narodzie uciśnionym. Odrzuciwszy wszelkie brudne myśli zysków osobistych i przyjemności światowych, ująwszy silną ręką wzniosłe swe godło, krzyż Zbawiciela, idą śmiało naprzód, świecąc pięknym przykładem ciemnemu, uciśnionemu ludowi, wspierając go radą, oświecając nauką, gromiąc wady, podnosząc śmiało słowy upadającego ducha. Oby te ich poświęcenia godnie uznane i ocenione od nas były, i oby nieustawali w szlachetnym zapale, mogącym tak piękne i pożyteczne przynieść owoce!

Willa Markiza Aveglia leży na wzgórku ponad miasteczkiem Menaggio, w pobliżu wspaniałej willi Mylius, do której prowadzi kunsztowna droga, składająca się po większej części z mostów kamiennych ponad bezdennymi przepaściami i szumiącymi potoki. Dzieło to wiekopomne bogatego bankiera Mylius, który z wspaniałomyślności ku wygodzie gminy Menaggio i jego okolic kazał utworzyć te arcydzieła sztuki budowniczej. Markiza Aveglia nie było w do-

mu, żyje on po większej części w swój pięknej willi ponad jeziorem Maggiore, tę zaś willę odstąpił swój żonie, z którą się rozwiódł.

Willi tego znakomitego męża, który się odznaczył nietylko jako polityk, ale jako autor i poeta, jest skromnym ustroniem w porównaniu do przepysznych pałacy książęcych i bogaczy, które się wznoszą ponad brzegami tegoż jeziora; lecz jest bardzo zajmującą dla tego, kto zna literaturę włoską i czytał dzieła jój właściciela, bo znajdzie tam do nich portrety *al fresco* w niektórych salonach.

Prześliczne widoki na jezioro i jego czarujące okolice, są właściwie jedyną ozdobą téj willi, która w swój wytwornej prostocie daleko jest piękniejszą niż sąsiednie jój pyszne pałace i zamki. . . . .

## Jalmużna i miłosierdzie.

### I.

Pięknem jest posłannictwo Anioła Wiary. On to przemawia do dusz naszych, przypominając im wszechmocność tego, który stworzył wszystko i o niczem nie zapomina; on powstrzymuje nas od upadku w godzinach, w których zwątpienie posuwa się do takiego stopnia zuchwalstwa, iż śmiemy się Boga zapytywać, lub szemrać przeciw niedoścignionym i niezbadanym wyrokom Jego. Anioł Wiary czyni to, iż wierzymy w niego, nierozumiejąc go, jak dziecko, które wierzy w miłość rodzicielską, nie mogąc jój pojąć; on jest wreszcie ten, który pognebia w nas ducha złości i błędu, przyczyniającego się znacznie do zgubnej niewiary.

Anioła Nadzieji posłannictwo jest wzniosłem. On ociera łzy tym, którzy płaczą, podtrzymuje tych, którzy słabną, podnosi upadających i podnieca wysilenia tych, którzy się zatrzymują, strwożeni trudem i długością ciernistej drogi. Anioł ten przemawia do wszystkich zawsze jednemi słowy: „Niebo i radości jego tym, którzy z pokorą i poddaniem się znoszą wszystkie cierpienia.“

Ale posłannictwo Anioła Miłosierdzia jest najszczytniejszem. On wlewa w każdą duszę kroplę, zaczerpniętą w miłości Boskiej, i zaszczepia w każdą pierś stronę, która drży i odzywa się na widok cierpień drugiego; wzrok jego jest wyteżony na tę kroplę miłości i stronę współczucia, uważając, czy ludzie nie pozwalają ulotnić się jednej, a drugiej zardzewieć.

Anioł Miłosierdzia nie zważa bynajmniej na rozgłos, jaki czyni dobrodziejstwo, ale raczej na intencją onegoż, i z radością liczy każdy uczynek, dopełniony z miłości ku Bogu. Dwie wielkie księgi leżą po jego prawicy. Jednej niezliczone karty obejmują wszystkie jałmużny dane na ziemi; w drugiej zapisane są uczynki, z prawdziwego miłosierdzia pochodzące. Miłosierdzie i jałmużna, są to dwie rzeczy różne, są to, że tak powiem, dwa strumyki z jednego wypływające źródła, lecz jeden z nich w swym biegu często bywa zmaćony, gdy przeciwnie drugi pozostaje zawsze równie przezroczystym. Gdyż jak często widzieć możemy znaczne jałmużny bez uczucia miłosierdzia, tak też nierzadko spotkać można uczynki prawdziwie miłosierne bez najmniejszej jałmużny.

### III.

Był to dzień nowego roku. W dniu tym miasto całe było w poruszeniu, a liczną ludność jego wy-

rażnie na dwie części podzielić było można: dającą i odbierającą życzenia i podarunki. Chyba człowiek bardzo samotny, lub całkiem od zgiełku świata oddalony, ogólnego nie brał udziału. Anioł Miłosierdzia wybrał ten dzień właśnie, by zwrócić swój boskiem światłem promieniejący wzrok na jeden z domów na najludniejszej ulicy miasta. Był to dom sześcioletni.

Na pierwszym, z elegancją i przepychem umeblowanym, mieszkała młoda mężatka, szczęśliwa, przy najmniej na pozór, bywająca w świecie i lubiąca go, ale przytém niezaniebująca nigdy obowiązków religijnych.

Drugie, brzmiało bezustannie, to głosami młodych osób, to dźwiękami fortepianu, to wesołemi i swobodnemi rozmowami. Zamieszkiwały bowiem to piętro dwie młode panienki, wraz z matką, wdową od lat kilkunastu, posiadającą wystarczający majątek do prowadzenia wygodnego życia, i która to matka niczego zgoła córkom swoim ukochanym odmówić nie umiała.

Na trzecim mieszkał człowiek średniego wieku, urzędnik, który do pensji swojej dołączał trochę własnego majątku, i to go czyniło dość bogatym, tym bardziej, że nie miał rodziny.

Na czwartym, gdzie czystość zastępowała zbytek, młoda szwaczka pracowała, łóżąc ciągle starania koło stariej babuni, którą jedyną z całej jej familii Pan Bóg przy życiu zostawił.

Piąte, zajęte było przez dwie rodziny: jedną, składającą się z biednych rzemieślników i ich dzieci; drugą, z ojca i małej jego córeczki, zaledwie dziewięć lat mającej, sieroty, od kolebki matki pozabawionej.

Nakoniec szóste było schronieniem zgrzybiałego starca, niegdyś odźwiernego tegoż domu, a któremu właściciel za jego uczciwą i chwalebną wieloletnią służbę, piętro to oddał do użytku. Starzec ten wypełniał jeszcze drobne posługi, o ile mu siły jego pozwalały, a małe wynagrodzenia za to, i 100 złotych dochodu z szczuplutkiego mająteczku, wystarczały na skromne potrzeby starego Jakóba.

### III.

Przeciw swemu zwyczajowi, wykwintna pani Solicka wstała dnia tego rychlej niż zazwyczaj. Pierwszem jej staraniem było przekonać się o stanie pogody, a ujrzawszy pogodny błękit zimowego nieba, zapowiadający całodzienną pogodę, rzekła do siebie: „Chwała Bogu, mój ubiór będzie ślicznie wyglądał.“ Po chwili zadzwoniła, a nim dzwięczne tony srebrnego dzwoneczka zdołały umilknąć, weszła Wiktosia, młoda, wesoła dziewczyna, z miną poważną, nader sprzeczną z jej zwykłą żywością, i złożyła swęj Pani życzenia szczere i prawdziwe.

Czępeczek, prawdziwemi koronkami zgrabniutko ozdobiony, był odpowiedzią i podziękowaniem młodej mężatki, która z uśmiechem patrzyła na radość swęj służącej, sprawioną tym podarunkiem.

„No teraz mię zaczesz Wiktosiu“, rzekła pani Solicka, chcąc skrócić gorące podziękowania; „mąż mój wyszedł, chciałabym być przynajmniej uczesaną nim powróci.“

„Ja wiem, gdzie i po co Pan wyszedł tak rano“, odezwała się Wiktosia nieśmiało, zaczesując zręcznie długie jasne włosy swęj Pani, w przesłiczne sploty.

„Ja, bo nie wiem, ale się domyślłam tak trochę.“

„Nie chcę nic mówić, ale może się Pani dobrze domyśla, bo Pan poszedł po wiązarek dla Pani, wiem nawet jaki, i ręczę, że się Pani tyle ucieszy, co ja czępeczkiem.“

„Widzę Wiktosiu, że jesteś bardzo dyskretną, wolę cię więc na próbę nie wystawiać.“

„O może Pani być pewną, że umiem dochowywać tajemnic. Pamięta Pani, co się to Pani podobalo, u tego złotnika ta.....e wolę już nic nie mówić..... później na wieczór to uważałam, że gdy Pani Panu o tém opowiadała, to się zdawało, że Pan jest bardzo zamysłony, a on..... a jeszcze bym się wygadała, nie już nic nie powiem.“

„Dobrze, dobrze Wiktosiu, skończyłaś już czesanie, możesz więc odejść“, uśmiechając się rzekła pani Solicka, „a pamiętaj wszystkich tajemnic tak dotrzymywać, jak tój.“

Chwileczkę później wszedł pan Solicki i po złożeniu serdecznych życzeń swój żonie, wręczył jej małe pudeleczko z słoniowej kości, srebrem wykładane. Zawierało ono bransoletkę emaliowaną przepyszną roboty, tę samą, której bogactwo i piękność opisywała pani Solicka mężowi, a z przyczyny której tak bardzo języczek świerzbiał Wiktosię.

„Miło mi, że ci to radość sprawia“, odezwał się pan Solicki do ucieszonej żony, „ale myślę, że wiadomość, którą ci przynoszę, nierównie wielką sprawi ci przyjemność; oto spotkałem Józefa, który tu szedł właśnie z myślą zaproszenia cię na jedną z kwestujących dam w katedrze podczas Mszy św. Przyjąłem zaprosiny w twojem imieniu, nie wiem czym dobrze zrobił.“

„O dobrze, dobrze“, odrzekła pani Solicka, „przecież wiesz, że ja tak chętnie wszystko dla biednych

robię, oni tego tak potrzebują, zima taka sroga, iluż ich tam jest skostniałych i zgłodniałych? żeby tylko zebrać jak najwięcej!”

Piękne słowa i życzenia wyszły z ust pani Solickiej, ależ czy i myśl tém tylko była zajęta? czy i serce to tylko czuło? niestety! Myśl jej, widziała ją w kościele, a oczy wszystkich zwrócone na piękne ubranie, które wziąć miała, a dla którego urząd kwestarki z taką radością przyjęła, słyszała już grzeczne słówka, któremi chwalono jej dobry gust, a serce jej radowało się ze zwycięstwa, jakie odnieść miała nad współtowarzyszkami kwesty.

Podobne myśli nasuwając się ciągle pani Solickiej, tak jej czas skróciły, że ani się spostrzegła, jak nadeszła dziesiąta godzina, o której stawić się miała w kościele. W największym pośpiechu zaledwo zdołała rzucić okiem w zwierciadło, ale widać, że to wystarczyło, gdyż z uśmiechem zadowolenia i wdzięczności zwróciwszy się ku Wiktosowi, wskoczyła do powozu.

W sam czas przybyła pani Solicka, gdyż właśnie Msza św. się rozpoczęła. Zaledwo poważny, a tak przejmujący głos organ, rozległ się po wspaniałym przybytku Pańskim, natychmiast młode kwestarki, złożywszy na srebrną tacę własne swe ofiary, rozeszły się po świątyni, aby spełnić włożone na nie to słodkie a lekkie zadanie.

Wszystkie cztery były piękne, powabne i pełne gracyi, ale pani Solicka przewyższała je nietylko urodą, której jej Bóg nieposkąpił, ale i ubiorem, który sobie była tak upodobała. Życzenia jej spełniły się nawet nad jej spodziewanie, i czuła się najszczęśliwszą, gdy widziała wszystkie oczy zatrzymujące się na niej, pełne podziwu i uwielbienia.

Kwesta trwała dość długo i szczęśliwie wypadła; po skończeniu jej udały się zajęte nią Panie do bogobojnego, w podeszłym już wieku kapłana, aby w jego ręce złożyć skarb zebrany.

„Niech Wam Bóg pobłogosławi, drogie Panie“, rzecze odbierając, „a rok miłosiernym uczynkiem rozpoczęty niech Wam szczęśliwie upływa!“

Słowa te zarumieniły panię Solicką, bo nasunęła jej się myśl, zapytująca ją: czy w istocie prawdziwie miłosiernym uczynkiem rok ten rozpoczęła? ale widać, że myśl ta przeszła tylko jak błyskawica, gdyż w kilka minut później wracała do domu szczęśliwa z odebranych pochwał, i przekonana, że życzenie czcigodnego kapłana spełnić jej się powinno.

#### IV.

Dopiero szósta godzina, jeszcze się nie rozjaśniło na dworze, a już od dawna widać światło na drugiem piętrze znanego nam domu, w oknie pokoiku Helenki i Emilii.

Wesołe dziewczęta po cichutku rozmawiały, aby tylko nie obudzić matki, którą sądziły śpiącą w przyległym pokoju; niewiedziały, że ona już od godziny modląc się, prosi Najwyższego, aby wszystkie łaski zesłał na te, które ona nad wszystko na ziemi ukochała, które były jedyną jej pociechą i całym jej szczęściem.

„Co za szczęście!“ mówiła Emilia powabna, ale nie ładna, szesnastoletnia dziewczynka, o jasnych włosach, zwiniętych w długie loki, jedyną jej ozdobę, gdyż cera jej była chorobliwej białości; „co za szczęście, że się Anielka tym balem składkowym zajęła i do skutku przyprowadziła. I to jeszcze bal na biednych! Wiesz Helenko, dwojakie dobre ztąd wy-

niknie; najprzód, że się biednych wspomóżę, a potem, że i my przy tém się zabawimy. Ciekawa jestem, jak się wydadzą moje kwiaty..... Zdaje mi się, że dzisiejszy dzień trwa wieki, ja nie dotrzymam do wieczora. A ty Helenko? ty jakoś nic nie mówisz, jakby cię to nie obchodziło.“

„Ja“, odrzekła zamyślona Helenka, starsza o rok od siostry, niższa wzrostem, lecz bez porównania ładniejsza, „myślę ciągle o biednej Ludwini, ona także tak tańczyć lubi, a pozbawioną jest tego balu; ta nieznośna febra opuścić ją nie chce.“

„I mnie to nie miło, ale cóż robić? kłopotząc się o nią, nic jój nie ulżemy, a sobie zepsujemy wieczór; korzystajmy lepiej z okazji, może nam się tak prędko nie zdarzy.“

Helenka na to nic nie rzekła, ale westchnęła głęboko, bo była to dobra dziewczyna, pełna poświęcenia, która o sobie wtenczas dopiero myślała, kiedy już wszyscy, co ją otaczali, i wszyscy, których kochała, pomocy jój lub starań nie potrzebowali.

Wkrótce potem udały się obiedwie siostry do pokoiku matki, która na dzień dobry równie szczerze i serdecznie uściskała obiedwie, choć Helenka częściej dawała jój dowody swego przywiązania; lecz dobra matka nie dała im uczuć nawet, że to spostrzegła.

„Jakżeż dzieci moje!“ odezwała się pani Rawska, „nie wam nie braknie do dzisiajszej zabawy?“

„Nie mam“, odezwała się płocha Emilia, „szwaczka przyniesie nam suknie w południe, a resztę przyborów już mam w pogotowiu.“

„Pomyślałam ja już także o waszych. Od roku już bywacie tu i ówdzie, a zawsze jedne i te same klejnoty macie na sobie; sądzę, że radebyście cza-

sem je odmienić.“ Mówiąc to pani Rawska otworzyła biórko i pokazała córkom zausznice, bransoletki i broszki, całkiem równe, które obudwom przeznaczała.

Emilia patrzyła na nie okiem błyszczącym z radości i drżała z uciechy na samą myśl, że to do niej należy; Helenka zaś patrzyła aby patrzeć.

„Nie choraś ty, aniołku?“ zapytała ją matka z widocznym niepokojem.“

„Nie mam, ale jeszcze czegoś braknie mi na ten bal...“

„Czegoż, powiedz“, rzekła nieco uspokojona matka.

„Radości mam. Ludwinia, mam, jest chorą, nie będzie na tym balu, żal mi jęj więc, chciałabym się jęj odwdzięczyć za to, że przeszłego roku pozba-  
wiała się przyjemnych wycieczek i zabaw, przycho-  
dząc do mnie, gdym była chorą, aby mię trochę  
rozweselić; chciałabym nawzajem dla nięj to uczy-  
nić, ale nie wiem tylko, czy Emilce nie będzie mar-  
kotno iść samęj...“

„Chciałabyś zostać cały wieczór u Ludwini!“ za-  
wołała roztrzępana Emilia, „o nie bój się, o tyle  
tylko będzie mi nie miło, że cię będę widziała po-  
zbawioną tańca i zabawy, którą ja tak bardzo lu-  
bię. Wiesz, uwielbiam twoje poświęcenie, ale naśla-  
dować go nie miałabym odwagi. Żeby tak mama  
zawiozła mię na bal, a tobie pozwoliła iść do Lu-  
dwini, tobyśmy obiedwie były zadowolone. Dobrze  
mam?“

„Jak najchętniej moje dzieci. Ale Helenko, mamże  
odebrać od Anielki twoje trzy talary składki, któreś  
dała; przecież nie będziesz brała udziału w zabawie,  
możesz więc żądać ich zwrotu.“

„Ach, nie mam! dając te pieniądze myślałam

tylko o biednych, a nie o przywiązanej do nich zabawie, niech więc zostaną.“

„Lepszaś odemnie“, odezwała się Emilia, próbując walca, „bo ja się bardzo cieszę, że nietylko ubodzy, ale i my coś przy tém zyskujemy.“

Wieczorem, podczas gdy Emilia cała oddana zabawie, upojona muzyką, uniesiona radością, o niczem nie myślała, o nic nie dbała, Helena, w cichym pokoiku, przy łóżku swój przyjaciółki, słodko spędzała godziny, uprzyjemniając je chorój Ludwini to rozmową, to czytaniem.

Nazajutrz wstała Emilia zmęczona i bledsza niż zazwyczaj, a ubrawszy się, leniwym krokiem poszła do przyległego pokoju, aby pochować swoje wczorajsze ubranie i poukładać rozmaite drobnostki, niedbale w wilią porzucone. Wszedłszy zastała wszystko na swoim miejscu i najmniejszego śladu nieporządku.

„Ach prawda“, rzekła do siebie, „Helenka rychło wczoraj wróciła do domu, wstawszy więc wcześniej wyręczyła mnie. Ona pewnie lepiej spała i mniej zmęczona odemnie, a co pewna, że nie ma tego mocnego bólu głowy, który mi dzisiaj dokucza.“

Miała racją Emilia, ale czemuż nie zastanowiła się więcej nad przyczyną zdrowia Heleny, a swoim zmęczeniem?

## V.

Na trzecim piętrze, w ładnie urządzonego pokoju, w wygodnym fotelu, siedział pan L., urzędnik przy ministeryum, zawinięty w szlafrok futrem podbity, nogi wyciągnawszy przed kominkiem, który dobroczynném ciepłem cały pokój napelniał; zdawał się być pogrążonym w myślach, gdyż czoło jego w tyśiączne pogięło się fałdy.

Może się tak zamyślił nad swoją samotnością. Bo pan L. nie mając rodziny, nie żyjąc z nikim, nie miał nikogo, przed kim mógłby się wylać, tém bardziej, że nie miał takiego uczucia w sercu, które czyni, że widzimy brata w każdym człowieku. Nie żył zaś z nikim, aby nie był zmuszany, zmieniać zwyczajów, do których nawykł. Zadawałniał on każdą chęć, każde pragnienie swoje. Niewiedział, co to jest nędza i cierpienie, gdyż jednemu zapobiegł już na zawsze, a drugiego o ile mógł unikał, cierpienia zaś bliźnich pojąć nie umiał. Mimo to pan L. uchodził za bardzo miłosiernego, gdyż nigdy zbierający składki na biednych, z próżnemi rękami od niego nieodchodzili; stan jego bowiem pozwalał mu udzielać jałmużnę, bez ujmowania sobie jakichbądź przyjemności, dawał je nawet z największą gotowością, ale gdyby dla tego trzeba było co zmieniać w życiu codziennem, to nie wiem, czy wygoda, czy dobroczynność byłaby przemogła. Nieśmiałe pukanie do drzwi obudziło pana L. z jego marzeń, wstał i otworzył.

Biedna kobieta, uboga, ale czysto odziana, trzymając małego chłopczyka za rękę, weszła na próg, nieśmiając dalej się posunąć z obawy, aby jej grube trzewiki niezbrukały bielutkiej posadzki.

„A to wy Kazimierzowa!“ zawołał pan L., powracając na opuszczone miejsce.

„Tak, to ja proszę Pana; nie mogąc się inaczej odwdziżyć Panu za tyle dobroci, przyszłam dziś złożyć Panu życzenia odemnie, od mego męża i od moich dzieci. Oby Bóg....“

„Dobrze, dobrze Kazimierzowa, już wiem, że wasze życzenia są szczerze, dziękuję wam za nie. Powiedzcie mi oto, co wasze dzieci porabiają, a naj-

starszy czemu nie przyszedł z wami? Przecież wiecie, że się nim opiekuje.“

„Ale kiedy, proszę Pana, Antoś chory, mocno chory, aż płakał, że nie mógł sam przyjść podziękować Panu za wszystko; ale on leży i nie wstaje, doktor powiedział, że ta choroba nie jest niebezpieczna, ale może potrwa długo.“

„To źle, tém bardziej, że majster, do którego go dałem w naukę, bardzo był zadowolony z niego, a tu teraz będzie przerwa. To prawda, że młody, to ten czas da się jeszcze powetować.“

„Jak téż będzie zdrowszy, to go tu zaraz przyprowadzę, on tak rad tu zawsze idzie, bo tak Pana kocha jak drugiego ojca.“

„No, to mu powiedzcie Kazimierzowa, że kiedy on nie mógł przyjść, to ja go może odwiedzę.“

„O mój Boże“, zawołała biedna matka, składając ręce i zalewając się łzami radości, „Pan będzie łaskaw fatygować się na nasze ciemne, niewygodne schody!“

„Możeby mi co przeszkodziło, żebym przyjść nie mógł“, rzekł pan L. żalując, że się za daleko posunął, „mróz taki na dworze“, a Kazimierzowa powiada jeszcze, że schody niewygodne, ciemne, „to zawsze lepiej dajcie mu to tam odemnie.“ Tu pan L. wyciągnął rękę z talarem.

Biedna kobieta wzięła i podziękowała, ale oczym jej nie błyszczały już taką radością, jak kiedy pan L. obiecał być swoje odwiedziny.

Prawdziwe ubóstwo nie pragnie tyle pieniędzy, co współczucia dla swój niedoli, dla swój nędzy. Wiadać, że pan L. o tém nie wiedział, nie byłby może cofał swego przyrzeczenia.

Talar tyle uciechy sprawił małemu Antosiowi, że

przez wrodzoną delikatność poczciwa Kazimierzowa nie wspomniała mu nawet o przyrzeczeniu pana L., wiedząc, że się ono nie spełni.

I dobrze się domyśliła, bo pan L. nie przyszedł, tylko ona w dwa tygodnie później wraz z Antosiem poszła do niego, by mu podziękować.

## VI.

W ubogim pomieszkaniu czwartego piętra krzątała się młoda dziewczyna w skromnym ubiorze, który ochroniono jeszcze dużym białym fartuchem. To ocierała sprzęty, to kwiatki podlewała, raz po raz rzucając okiem na śniadanie przystawione do ognia, uśmiechając się przytém do staruszki siedzącej w dużém słomianém krześle, opartej na poduszce, a z dumą i radością patrzącej na zajętą wnuczkę. A było i czego być dumnym. Bóg, który niezważa ani na majątek, ani na stan, zsyłając wdzięki fizyczne i powaby moralne na istoty ziemskie, upodobał sobie Joasię, i jednym i drugim sownie ją obdarzył.

Piękniejsza od pani Solickiej, zgrabniejsza od Emilii, a lepsza jeszcze od Heleny, bo ani o swęj piękności, ani o swęj dobroci niewiedziała.

Zdała od świata, nie nasłuchiwała się pochwał i pochlebstw, których on tak szczerze udziela; a uśmiech zadowolenia babki był największą jęj nagrodą.

Zadowolona z swęj biegłości w szyciu, pełna słodyczy, przygotowana na wszystkie przeciwności i nieprzyjemności, młoda szwaczka czuła się szczęśliwą o tyle, o ile szczęście od ścisłego wypełnienia obowiązków zależy.

Zapłata za jęj szycie wprawdzie mierna, ale zawsze stała, gdyż osoby zadowolone z jęj roboty zawsze ją zatrudniały, i mała scheda odziedziczona po

rodzicach, wystarczała całkowicie na umiarkowane potrzeby dwóch tych istot.

Dzień nowego roku niezmięniał nic w ich codziennych zwyczajach. Tylko na dzień dobry staruszka serdeczniej wnuczkę przycisnęła do serca, dziękując Bogu, że przynajmniej ten skarb jej zostawił, zabierając resztę jej dzieci do siebie.

Zaledwie Joasia skończyła swoje zatrudnienie, gdy cichy szelest u drzwi zwrócił jej uwagę i ujrzała małe paluszki dziecinnęj rączki, zaczerwionęj od zimna, nieśmiało je odchylające. Joasia poskoczyła ku drzwiom, a schwyciwszy rączkę, wprowadziła do pokoju małą zapłakaną dziewczynkę, którą posadziła na stołeczku obok swęj babuni.

Była to Józia, sierotka z piątego piętra. Joasia kochała ją jak siostrę, raz dla tego, że dziecko to równie jak ona matki nie zaznało, a powtóre, że była jej chrzestną córką; dla tęg nawet przyczyny mała Józia zawsze ją „ciocią“ nazywała. Przykro się zrobiło Joasi na widok zapłakanęj dziewczynki, więc z największą łagodnością zapytała ją:

„Cóż ci to Józinko, powiedz?“

„Jeśli mi nie odpowiesz Józiu, to pójdę do ojca i spytam go o przyczynę twego płaczu.“

„O nie, nie ciociu!“ zawołała podnosząc głowę i duże ciemne, pełne łez oczy. „Ja naumyślnie od ojca wyszłam, żeby mię płaczącęj nie widział; on także zasmucony.“

„To tém bardziej powiedz mi, co się stało“, rzekła Joasia, „albo cię dziś nie będę kochała.“

„Już wszystko cioci powiem, tylko niech mię ciocia nie łaje, że o lada co płaczę. Ciocia wie, że już od świętego Michała chodzę do szkoły“, łkając jeszcze mówiła Józia.

„Wiem, wiem i myślę, że się dobrze uczysz.“

„Tak ciociu, siedzę najpierwszą w klasie, i właśnie dla tego, te starsze, co niżej siedzą odemnie, zazdroszczą mi, i powiedziały . . . .“ Tu zmarwionej Józki znów zaczęło się na płacz zbierać, ale Joasia, ucałowawszy ją prędko, zapytała:

„Cóż ci powiedziały?“

Powiedziały: „Widać, że ten malec nie ma matki, bo już dawno po Wszystkich Świętych, a jeszcze w batystowej sukni chodzi.“ Joasia uśmiechła się smutnie.

„I ty dla tego dzisiaj płaczesz?“ rzekła.

„Nie ciociu, ale zaraz w ten dzień, wróciwszy do domu, prosiłam ojca, aby mi na gwiazdkę kupił wełnianą suknię, żeby te drugie nie mówiły, że nie mam matki . . . . Ojciec mi przyrzekł, a dzisiaj powiedział, że nie ma pieniędzy, że muszę czekać do wielkiego postu . . . . Widziałam, że mu to także przykrość sprawiało; niechając go smucić, śmiejąc się odpowiedziałam, że mi wszystko jedno; ale w tej chwili tak mi się przykro zrobiło, że co prędej wyszła do cioci, żeby tu popłakać . . . . Ale teraz, ciociu, wszystko już dobrze!“ Mówiąc ostatnie słowa uśmiechnięta Józka rzuciła się Joasi na szyję, całując ją serdecznie.

Joasia na uspokojenie dała jój książeczkę, dawno już na ten dzień chowaną, starannie owiniętą w papier. Staruszka zaś dała jój paczkę cukierków. Wkrótce dobre dziecko zapomniało o swoim zmarwieniu i pobiegło do ojca podzielić się swą radością.

Ale wzruszona Joasia niezapomniała o niój.

Miała ona na zimę dwie suknie, jedną dosyć podszarzaną, drugą zaledwo zmiętą. Uważając, że ta stara jeszcze dość dobra; za przyzwoleniem ba-

buni postanowiła zrobić z téj drugiej porządne ubranie dla Józi, aby zazdrośne jój towarzyski nie mogły więcej ją prześladować, że nie ma matki. Natychmiast ochoczo wzięła się do roboty, ale i tak dopiero późno w noc ukończyła ją.

Nazajutrz z głową dumnie podniesioną, z wzrokiem pełnym zadowolenia, zasiadła Józia ławkę szkolną i odtąd żadna z złośliwych towarzyszek nieśmiała ją zaczepiać, gdyż żadna nie miała sukni tak ładnej.

Małe poświęcenie Joasi uszczęśliwiło trzy osoby, a dwa serca napełniło wdzięcznością bez granic.

## VII.

Karolek, sąsiad Józi, z piątego piętra, o rok młodszy od niój, był jedynym towarzyszem jój zabaw, aż do chwili, w której Józia porzuciwszy dziecinne igraszki zaczęła uczęszczać do szkoły.

Był to chłopiec cichy i powolny, który nie znajdował przyjemności w psotach, jak to robią inne chłopcy jego wieku, ani téż lubił zabaw hałaśliwych, krzykliwych, tak drugim nieprzyjemnych. Z czworga dzieci, które mieli jego rodzice, on sam tylko pozostał; przyzwyczał się on do tego życia smutnego i bez rozrywek, jakie pędziła jego matka, zawsze w obawie o zdrowie ukochanego syna, który rósł nad wiek i delikatný był budowy.

Biedny Karolek kochając nadewszystko swoich rodziców, a widząc ich zawsze poważnych, smutnych i zamyślonych, nieśmiał nawet rozśmiać się wesoło, aby im tém przykrości nie zrobić. Jednakowoż potulne to dziecko, nie mogło się obejść bez jakiejś istoty, z którąby się pośmiało lub pożartowało; dla tego téż czując ubytek Józi, znalazł sobie przyjaciela w starym Jakóbie, mieszkańcu szóstego piętra.

Stary Jakób, lubiący wszystkie dzieci, ukochał Karolka nad inne, gdyż opowiadań jego słuchał z uwagą, spokojnie i nigdy mu żadnej psoty nie wyrządził. Brał go często na miasto, gdy go który z lokatorów po co wysłał, a po drodze opowiadał mu, (bo Jakób był niegdyś żołnierzem) rozmaite wyprawy wojenne, bitwy i t. d. Karolek słuchał go z natężeniem, ale go do tego stanu nigdy ochota nie brała. Nawzajem Karolek przynosił często Jakóbowi książki do czytania, które od ojca dostawał, lub mu miesięczne obrachunki załatwiał, gdyż staremu Jakóbowi zawsze szły oporem. Słowem byli to dwaj przyjaciele od serca.

To też w dzień nowego roku, za ledwo Karolek dostał od rodziców na wiązarek kilka cukierków i ciasteczka, tak zaraz pobiegł do Jakóba. Ale uśmiech radości, z którym biegł do niego, zniknął z jego twarzy, skoro wstąpił na próg izdebki starca. Jakób, który zawsze ze świtem był już na nogach, leżał dzisiaj w łóżku. Zobaczywszy na palcach idącego chłopca, rzekł:

„Źle, Karolku, źle, już od kilku dni przechodziły mię dreszcze, ale mię dzisiaj febra napadła, tak już wcale mię jakoś nie opuszcza. Chciałem wstać, zrobić ognia, ale głowa mi się zawracała i musiałem się położyć!“

Jeszcze słów tych nie domówił, a już uczynny Karolek wyszukawszy drzewa, z wysileniem ciągnął do kominka, aby ogień zrobić.

„Jeszcze sobie co zrobisz chłopcze“, rzekł Jakób; „pocziwys, Pan Bóg ci to nagrodzi.“

„A wam zdrowie powróci Jakóbie“, dodał Karolek.

„Że też ta febra dzisiaj właśnie przyszła“, zaczął znowu Jakób, „byłbym sobie obszedł cały dom i uzbie-

rał cośkolwiek grosza dla mojej biednej siostry, jutro wszyscy zapomną, że dzisiaj był nowy rok. Mój Boże! a zawsze mi coś dali.“

„Prawda“, pomyślał sobie Karolek, a postawiwszy szklanke wody na chwiejącym stoliku, obok łóżka chorego, zbiegł na dół.

Chwilkę później stał Karolek nieśmiało z spuszczonej oczami, z kapelusikiem w ręku, przed państwem Solickim, którzy byli na wybieraniu.

„Co chcesz, moje dziecko?“ zapytała go pani Solicka.

„Proszę pani, Jakób..... co to chodzi za posyłkami, co podwórek umiała, co.....“

„Cóż chce ten Jakób, który tyle rzeczy robi?“ rzekł śmiejąc się pan Solicki.

„Jest chory, proszę Pana“, dodał Karolek, „i nie może przyjść sam.....“

„Rozumiem, i przysłał ciebie.....“

„O nie“, przerwał Karolek, „on nie wie, że ja.....“

„Mężu, daj już prędkiej temu dziecku dukata dla Jakóba; i jedźmy, bo nie zastaniemy na Mszę.“

„O dziękuję, stokroć dziękuję Państwu!“ i szczęśliwy Karolek oddalił się spiesźnie.

Zachęcony dobrą przyjęciem państwa Solickich, już śmieliej przedstawił się pani Rawskiej, od której dostał dwutalarówkę. Ale przyszedłszy do pomieszczenia pana L., którego poważnej twarzy i surowego głosu zawsze się obawiał, zaledwie zdołał wy mówić nieśmiało:

„Proszę Pana, bo Jakób, co zawsze.....“

„Wiem już o co chodzi“, rzekł pan L., podając mu talara, „pewność z nim w spółce!“

Na te tak go poniżające słowa, biedny Karolek zaczerwienił się jak malina, czuł jak gwałtownie serce

mu biło, ale odpowiedzieć nie umiał. Niezrozumiałe tylko wybąkał słowa i wyszedł z oczami łez pełnemi. Zapomniał jednak prędko o téj nieprzyjemności, widząc w swém ręku uzbieraną sumę tak wielką. Nie mówiąc nic matce ułamał pół ciasteczka, które był od niej dostał, a zawinawszy starannie uzbierane sześć talarów w papier, udał się do Jakóba.

Choć osłabiony gorączką, jak śmierć blady Jakób, wstał i usiadł na stołku przy kominku.

„Słaby jestem, jeszcze bardzo słaby, chłopcze“, rzekł do wchodzącego Karolka. „A jednak“, dodał, jakby mówiąc do siebie, „muszę koniecznie obejść piętra i prosić . . . . . Jaby się tam bez tego obszedł, ale moja siostra, zkąd ona weźmie pieniędzy, nie mogąc zarobić!“ . . . . .

Słyszac to Karolek, przybliżył się do starca, podając mu ciastko i zwitek z pieniędzmi. Zaciekawiony Jakób rozwinął papier, a ujrawszy, co zawierał, domyślił się wszystkiego. Osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie, po chwili dopiero wyciągnawszy rękę do Karolka, rzekł wzruszonym głosem:

„Dziecię moje, nie mam nic, czémby ci się wywdzięczył, ale oto daję ci błogosławieństwo moje, a błogosławieństwo starca szczęście przynosi. Kiedyś się modlił w bitwach lub nieszczęściach, Bóg zawsze mię wysłuchał, będę i teraz prosił go bezustannie, aby ci dał siłę i zdrowie, bo tego tylko ci niedostaje, a może wysłucha mię. Dobre dziecię, może modły zgrzybiałej siostry mojej, której wszystko powiem . . . . .“

„O nie, nie, Jakóbie, ani ojcu, ani matce, ani nikomu nie powiadajcie!“ błagajaco wołał Karolek.

„Zobaczemy“, mruknął Jakób.

Przed wieczorem stary Jakób nabrawszy trochę

sił, zszedł na piąte piętro i czas jakiś przepędził u rodziców Karolka; wątpię, czy dopełnił życzenia chłopczyny, gdyż wieczorem leżącego już w łódeczku Karolka jeszcze raz ucałowała matka, mówiąc:

„Oby ci Bóg dał tyle zdrowia i siły, mój Karolku, ile w serce twoje wlał dobroci!“

### VIII.

Północ wybiła. Pierwszy dzień roku upłynął.

Anioł Miłosierdzia wniósł do góry schyloną głowę swoją, a wzięwszy złote pióro, święte rozłożył księgi. I zapisał w księdze jałmużn: Kwesę pani Solickiej, składkę Emilii i pierwszy datek pana L. A wzięwszy księgi Miłosiernych uczynków, zapisał w niej: Składkę Heleny, suknię Joasi, i wzruszający postępek Karolka.

K. Z.

## Listy z podróży.

### List drugi.

*Kolonia, dnia 13. Sierpnia 1861.*

Zamierzyłem pisać do Ciebie ze Strassburga, ale dla krótkiego tamże pobytu, stało się czystym niepodobieństwem zamiar ten uskutecznić. Monachium sprawiło na mnie niezatarte wrażenie wielką ilością swych przepysznych budowli; kroku dać niemożna, by nie spotkać jakiego pięknego gmachu; kościołów samych odwiedziłem z dziesięć, a co jeden to wspinałszy. Trudno wyliczać, a cóż dopiero opisywać wszystkie zbiory obrazów, posągów i t. p. Nacieszyć się niemogę slicznymi pałacami, które zwykle oto-

czone bywają gmachami w jednym stylu, i tak n. p. na jednym z nich niby w Grecyi się znajdujesz, wszędzie portyki, filary, świątynie cudnej prostoty, gdzie indziej same czysto romanskie budynki, ówdzie najczystsza gotyka i t. d. Jeden z najpiękniejszych kościołów jest gotycki kościół Najświętszej Panny Maryi, tak zwany „Auerkirche.“ Wszystkie jego okna (do 15. łokci wysokie) najpiękniejszymi wypełnione malowidłami, przedstawiającemi częścią obrazy Świętych, częścią misterne rozety, arabeski i różne inne figle w najżywszych kolorach. Niemożna się dziwić, że król Ludwik bawarski, który dziesiątkami takie budowle wznosił, przy zrzeczeniu się tronu miał 45 krajcarów w swój szkatule. Z Monachium puściłem się przez Landshut do Ratzbony, gdzie obejrzawszy nader piękną katedrę, udałem się pieszo do sławnej w pobliżu się znajdującej Walhalli. Na wysokości górze, stopy swe w Dunaju pławiącej, wznosi się na tle zielonego lasu przepyszna grecka świątynia z białego marmuru. Wchodzi się do niej po 250 wspaniałych marmurowych stopniach; wewnątrz zaś znajdują się popiersia sławnych Niemców, a między nimi popiersie Kopernika, Rubensa, Dybicza, Van Dyka i budowniczego Tumu kolońskiego, (o którym niewiedzą wprawdzie nietylko jak wyglądał, ale nawet kto był), a nie długo zapewne Smolka i Garibaldi tam się znajdują. Całe urządzenie wewnątrz jest bardzo piękne, wszystko z granitu i marmuru, dobieranego w różne wzory; sufit w złote gwiazdy na tle błękitnym, w kwadraty złotemi żyłami przedzielony. Nie żałowano ani kosztu, ani dobrego smaku, by ten przybytek niemieckiej sławy prawdziwie książęcym uczynić. Przez Augsburg i Ulm, gdzie śliczna lecz niedokończona katedra, pojechałem nazajutrz do Frie-

drichshafu, gdzie wsiadłem na statek parowy, mający nas przewieźć przez jezioro konstancyjskie. Mówię nas, bo towarzystwo było dość liczne. Składało się z dwóch angielskich rodzin, od których, bojąc się jakich przypadków, zdaleka się trzymałem, z kilku chudych, czarnych, obdarto wypatrujących Włochów, z których jeden podobno improwizator z rzemiosła, plół wiersze, o czym kto chciał, za niewysoką opłatę. Widać, rzemiosło to nie bardzo mu służyło, bo mu nietylko kości, ale i łokcie z rękawów wypychało. Prócz nich mieliśmy kilku wieśniaków i wieśniaczek bawarskich, do Szafuzy po interesach jadących, i dwóch Niemców akademików, jadących do Bazylei, z których jeden nader poetyczny unosił się nad niebem, nad wiatrem, nad wodą, nad mopsikiem kapitana i nad wszystkim, co nas otaczało. Choć nie przez tak poetyczne pryzmo patrzałem, wyznać jednakże muszę, że droga nasza była prześliczna. Wystaw sobie na tle cudnego nieba szarzące w oddali gór szczyty, a u stóp ich na brzegach porozrzucane białe, w zielonych kępach drzew kryjące się domki. Dodaj do tego najpiękniejszą pogodę, nas na wygodnym statku, a przyznasz, że mogliśmy być w różowym humorze. Żalowałem, gdyśmy u kresu stanęli, bo też było co żalować. Otóż byłem w Laufen, nad owym sławnym wodospadem Renu. Jest tam urządzenie, że z hotelu, w nader malowniczym miejscu będącego, za opłatę 1 franka, można patrzeć na wodospad z góry, z boku, z dołu, słowem, jak się komu podoba. Tuż nad wodospadem leży na wyniosłej skale stary zamek Laufen, otoczony basztami i murem, w malowniczym położeniu, mający z jednej strony wodospad, a z drugiej most na Renie i tunel pod skałą, na której stoi ów hotel. Wodospad sam

jest szerszy jak wyższy, woda bowiem rozbija się ciągle o skały i dopiero ze szczytu ostatniej spada całą masą (w środku skałą przedzieloną). Cała rzeka w tém miejscu biała od pijany, którą jest okryta; na najburzliwszém miejscu wodospadu stoi krzyż żelazny; pytałem się ciekawie, jak się tam dostał, bo człowiek tam dojść nie jest w stanie. Otóż w roku 1848. wody w Renie było tak mało, a raczej wcale nie, że do miejsca tego suchą dojść było można nogą. Krzyż ten tam wówczas postawiono i dotychczas opiera się sile wody, a nawet jednemu człowiekowi życie uratował. Nieostrożny jakiś rybak tak się do wodospadu zbliżył, iż się w prąd dostał i mimo wszelkich usiłowań wodą uniesiony został. Wszelki ratunek zdawał się niemożliwy. Świadkowie téj sceny, na oczywiste narażenie życia swego wystawić się nie chcieli. Łódka była coraz bliżej przepaści; widząc wszelkie swe usiłowania bezskuteczne, rybak oddał się na wolę falom i klękawszy w łódce Bogu się polecał. Woda niosła słabą łódkę jak strzałę, nakoniec z okrzykiem przerażenia obecnych w nurtach się pogrzyżyła. Lecz jakież było zdziwienie wszystkich, gdy śledząc bieg próżnej już łódki, na ramionach żelaznego krzyża człowieka ujrzeli. Po wielu usiłowaniach za pomocą liny wyciągnięto go z niebezpieczeństwa, cud w tém Boży upatrując, a człowiek ten, oddając się nałogowemu pijaństwu, od tego czasu trunków zaniechał. Nie pierwszy to i nie ostatni raz krzyż stał się zbawieniem człowieka!

Niebędę się rozwodził nad opisem Bazylei, Fryburga, Strassburga, Spiry, bobym ciągle powtarzać musiał pochwały ślicznych gotyckich katedr, które widzieć a nie opisywać trzeba. Jadąc nad Renem,

pojąłem, czemu Niemcy tak Francuzów nienawidzą. Niemasz wsi, niemasz miasteczka, gdzieby nie było do dziś dnia jeszcze ruin, gruzów, zgliszczy, z czasów wojen francuzkich. Spira była całkiem spalona, groby cesarzów niemieckich porujnowane, ich stare kości powyrzucane; tum odarty ze wszystkich ozdób i na stajnię zamieniony, odwieczny zamek cesarzów niemieckich, tak zwany „Belscher“, w powietrze wysadzony, kawałek tylko muru pozostał. Ze Spiry pojechałem przez Manheim do Heidelberga, gdzie znowu to samo: zamek zrujnowany, częściami wysadzony w powietrze, miasto do joty spalone. Przybywam do Worms. Tum czarny, okopcony, owo miasto odwieczne nowo odbudowane, i znów: „Die Franzosen, die verfluchten Franzosen!“ Niemożna się, jak widzisz, Niemcom dziwić.

Z Moguncyi Renem udałem się do Kolonii. Niezmiernie byłem ciekawy owych sławnych nadreńskich okolic. Ale jak to zwykle bywa, zdala rozbujała fantazyja cuda marzy, i dla tego zbliska widziana rzeczywistość niższą bywa od wymarzonego ideału, tak i mnie się zrobiło. Z pokorą wyznaję, że nic szczególnego nie znalazłem, i podróż po jeziorze konstancyjskiem daleko miłszą mi się wydawała, mimo, że na Renie towarzystwo było i dobrane i liczniejsze. Było tam nawet dwóch Polaków, moich znajomych, którzy się tam nie jako turyści, ale jako zwolennicy rulety znajdowali. Robili sobie wycieczkę z Wisbadenu, gdzie im szczęście sprzyjało, do Rüdeshaimu po wino. Spotkanie to, dowodzące, że pełno jeszcze u nas półgłówków frykazujących majątki zagranicą, nie dodało mi dobrego humoru, tak, że rad byłem gdy w Kolonii wysiadłem. W mieście tém o czémżeby podróżny mógł myśleć, czém być

zajęty, jeżeli nie katedrą. I ja to samo zrobiłem. Na próżno bym Ci opisywał tę budowlę, równie wspa-  
niałą formami jak ogromem; w głowie się mąci na  
widok téj massy wież i wieżyczek, a tak foremnych,  
tak delikatnych, a te freski wnętrze zdobiące, te kor-  
ronkowej delikatności rzeźby, rozety z ciosowego  
kamienia. Patrząc na tę misterność i tę harmonią  
zarazem, znamionującą to arcydzieło gotyckiego stylu,  
doprawdy uwierzyłoby się podaniu ludowemu, które  
djabła twórcą planu téj świątyni mianuje. Poczciwe  
to stworzenia, te średniowieczne djabliska. Za weksel  
na duszę dadzą Ci i bogactwa i piękność i rozgłos  
po świecie, jak się to budowniczemu tumu koloń-  
skiego przytrafiło. Miasto powierzyło mu zrobienie  
planu kościoła. Siadł więc na kamieniu i dumał tak  
długo, aż się djabłu to dumanie nie sprzykrzyło i  
ofiarował mu ów przepyszny plan w zamiau za cyro-  
graf na duszę. Budowniczy, z porady pewnego po-  
bożnego zakonnika idąc na umówioną z rogatym  
schadzke, opatrzył się w relikwie, za pomocą których  
i plan od djabła wy dostał i wekslu na duszę niepodpi-  
sał. Czart zemścił się, przekazując imię budowni-  
czego wiecznej niepamięci. Ale i w tém był zbyt  
naiwny, choć z imienia i z nazwiska nieznaný budo-  
wniczy dostał się na Walhallę, co mu wieczną ro-  
kuje sławę w przyszłości.

Jutro jadę do Amsterdamu, z kąd niebawem list  
następny odbierzesz.

### List trzeci.

*Amsterdam, dnia 19. Sierpnia 1861.*

Otóż już od tygodnia tu bawię, a na list zebrać  
się niemogę, bo się jeszcze ciągle gapię po tém dzi-  
wném mieście. Dotychczas miałem ciągle przed oczą-

mi, bądź piękności natury, bądź miasta średnio-wieczne, zezerniałe, jakieś poetyczne, w pół tajemnicze, bo myśl ku przeszłości wiodące. Tu zupełnie przeciwnie. Domy z czerwonej cegły z białymi około okien obwódkami, ulice nader ludne, szerokie, z kanałami w pośrodku, na których mnóstwo się większych i mniejszych statków uwija. Wszędzie gwaro, krzyk, hałas, turkot, ale nie powozów, bo to drogi artykuł, a tu kupcy tylko mieszkają zaradni, oszczędni, poczciwi, opasli. W porcie las masztów okrętowych. Ludzi wszelkiej narodowości pełno; tragarzy pak i szop z towarami bez liku. Tu wina z Przylądka dobrej nadziei, tam cukier w pakach, tytuń, indygo, koszenilla, sago, herbata, miód, drzewa amerykańskie i indyjskie, stopy rodzenków i staranniej zamknięte paki wanilli, cynamonu i t. p. Wody wszędzie pełno, to też czystość wygórowana; myją tutaj nie tylko okna, drzwi, podłogi, ale domy, ulice całe! Drogi zamiast żwiru ceglami wykładane, zdaje mi się, że także od czasu do czasu myciu podlegają. Każdy owoc tak bywa płukany, że smak traci. Z resztą jadło wyborne, hotele jak najwygodniej urządzone; słowem, zwierzęca strona człowieka z wyrafinowaną zadowolnioną dokładnością. O intelektualnej sędzić nie mogę, ale to pewna, że oprócz tłustych befsztyków, śledzi i serów olbrzymich, nic godnego uwagi nie spostrzegłem. Każde miasto w Niemczech ma jaką bądź osobliwość, bądź gmach piękny, muzeum jakie; ale gdzieżby o tém Holendrzy myśleć mogli. Niepotrzebują nawet po prawdzie, bo dla cudzoziemca miasto samo jest osobliwością, a Holender każdy typem, typem uosobnionego materyalizmu. Z językiem mi tu trudno; szczęściem, że trafiłem na towarzysza podróży Francuza, umiającego

niezłe po holendersku, i znającego na wskrós ich obyczaj. Zapoznanie nasze winniem śmiesznemu trafowi. Nazajutrz po mojem do Amsterdamu przybyciu, zmęczony całodzienném włóceniem się po mieście, wróciłem do hotelu i spać się położyłem. Ale wnet obudziło mnie wołanie o pomoc w francuzkim języku, z sąsiedniego pochodzące pokoju. Zerwałem się, i ubrawszy się na prędcę, wybiegam na kurytarz, otwieram drzwi przyległego numeru i zostaję oblany wodą, z pokoju na kurytarz się lejąca. Nadbiega gospodarz ze światłem i przystępuje do zbadania wypadku. Otóż roztrzepany Francuz, kładąc się spać, zapomniał zakręcić kurka z wodą, w którą dla wygody gości hotel w ten sposób jest zaopatrzony. Woda więc lała się szczęśliwie, dopóki go aż w łóżku nie dosięgła. Zbudzony, niewiedząc co to znaczy, wyskoczył na podłogę i znalazł się po kolana w wodzie. Brnął więc przez cały pokój, aż wszedł na stół i tam skulony o pomoc wołać zaczął, klnąc przytém po francuzku na czém świat stoi. Przekonawszy się o przyczynie tego potopu, tak się serdecznie śmiać zaczął ze mnie, że nawet poważnego gospodarza do homerycznej wesołości pobudził. Rozważywszy jednak, że położenie jego nie jest bez ambarasu, gdyż chwilowo innego pokoju nie było, ofiarowałem mu mój pokój, co z wdzięcznością przyjął, i całą noc prawie spędziliśmy na gawędce. Opowiadał mi dużo śmiesznych rzeczy, a między innymi opisał mi słynące z porządku miasto Bruck, w następujący mniej więcej sposób:

„Bruck nie jest ani miastem, ani mieścina, ani tém bardziej wsią, lecz zbiorem wiejskich domków, zbudowanych przez właścicieli dość bogatych, dla dogodzenia swym zachciankom. Ci więc idąc za swe-

mi skłonnościami, doszli aż do dziwactwa w porządku, a do obłąkania w ochędóstwie. Najprzód ulice, (nie wiem czy je mam nazwać ulicami, bo na nich ani przechodniów, ani pojazdów nie widać) są artystycznie ceglami wykładane. Wymiecione tak jak nasze sypalnie, z obawy, aby żaden wypadek czystości ich nienaruszył; zwierzętom chodzić po nich niewolno. Domy wymuskane i różno-kolorowo pomalowane, jak norymberskie cacka, upiękzone złotem i okienkami obwódkami. Do każdego domu prowadzą drzwi ozdobne rzeźbiarską robotą i medalionami w stylu Ludwika XV., zawsze szczelnie zamknięte, gdyż zwyczaj miejscowy pozwala je tylko otwierać w przypadku chrztu, ślubu lub śmierci pana domu. Do codziennego użycia są inne niskie utajone drzwiczki. Nikt się zresztą na ulicy nie pokazuje, każdy stara ukryć swój pobyt, by odwiedzin nie ściągnąć. Nie mogłem zwiedzić wnętrza domu, gdyż mi nieźartem zapowiedziano, bym zdjął obuwie. W skutek wyszukiwania drobiazgowości i źle pojętej sztuki, doszli do tego, iż ze swoich ogrodów, pełnych cudnych kwiatów, nudne zrobili miejsca. Naokoło trawników, zupełnie równej wielkości, kręcą się ścieżki wysypane piaskiem, na którym z cierpliwością porysowane są różne arabeski, a że ludzka stopa zniszczyła by niewątpliwie te misterne rysunki, chcący się przechadzać mają do tego przenośne, na niziutkich nóżkach osadzone deski. Pnie drzew malowane na szaro lub na biało, gałęzie tak regularnie podkrzesane, że każde drzewo podobne do bukietu w biały papier owiniętego. Aby niczego niebrakowało, drewniane figury w prawdziwym odzieniu zastępują miejsce przechadzających się, nie psując porządku ogrodu. Na sadzawkach pływają doskonale naśladowane ła-

będzie. Słowem, zrobiono tam wszystko, co może szpecąc naśladować naturę. Po dwóch godzinach doznałem gwałtownej chęci opuszczenia téj krainy szaleńców, którzy, aby niewychodzić kamieni, niezmęczyć drzwi, niedeptać piasku, pozbawiają się wszelkiej swobody i nieruszają się z miejsca. Zresztą, dodał Francuz, nieradziłbym Panu tam jechać, gdyż coś podobnego zobaczysz Pan w każdej osadzie holenderskiej.“ Poszedłem za jego radą i z Amsterdamu postanowiłem zrobić wycieczkę do Rotterdamu, Antwerpii, a ztamtąd przez Bruxellę do Paryża zapewnie pojedę.

#### List czwarty.

*Paryż, dnia 26. Sierpnia 1861.*

Z Amsterdamu udałem się, jak Ci wiadomo, do Rotterdamu. Kto widział jedno z tych miast, widział obadwa, bo sobie podobne jak dwie krople wody. Te same kanały czyli grachty, więcej wody niż ziemi, jak wszędzie w Holandyi. Piękny kościół Ś. Wawrzyńca, który obejrzawszy, puściłem się przez Dordrecht do Antwerpii. Pół drogi jedzie się parowcem Renem i Skaldą, a drugą połowę koleją; na niedobrą chwilę do oglądania miasta trafilem, bo na Kirmes (t. j. jarmark z zabawami ludowymi). W całym mieście ledwo miejsca na nocleg dostałem, i to jeszcze w pokoju, gdzie było czterech lokatorów, a nocą przybyło jeszcze trzech. Szczęście, że to było porządne towarzystwo, o którym przynajmniej mógłbym być pewnym, że mnie nieokradnie, byli to bowiem poczęści oficerowie belgijscy. Całą noc spać nie mogłem, taki był ruch w mieście. Na ulicach ścisk, składy pozamykane, trzeba się było literalnie pięściami przebijać. Ja i tak już zmęczony fizycznie

i moralnie, do reszty w tém zamieszaniu straciłem humor i fantazyę, a obejrawszy katedrę poszedłem do muzeum, gdzie cały czas przesiedziałem. Właściwie gdybym nie był taki zbity, wypadłoby mi jechać do Gandawy, ale to już było nad moje siły. W Bruxelli odetchnąłem. Obejrzałem miasto specjalnie; żałowałem, że mi domu Lelewela nikt wskazać nieumiał. Miasto bardzo miłe, ruch duży, piękne składy, bulwary, park w środku miasta. Mieszkańcy prawie zupełnie zfrancuziali, znać już bliski wpływ Francyi i Paryża. W Paryżu mieszkam Rue Corneille, Hôtel Corneille i placę za mieszkaniem 50 fr., t. j. 12 1/2 tal. za pokój ładnie umeblowany na pierwszém piętrze. Pierwszy dzień wypoczywałem, nic więc nie widziałem. Nazajutrz poszedłem do Louvre, gdzie 3 godziny zabawiłem i trzy sale tylko obejrzałem, tyle tam rzeczy godnych widzenia.

Co się atoli tyczy architektury w Paryżu, to nie wiele zyskać można; obrzydliwie tu budują; mnie, jako architekta, zimno nie raz przechodzi, patrząc na niektóre gmachy. Wyjawszy Nôtre-Dame, Panteonu i ze trzech może kościołów, w całym Paryżu pod względem budownictwa niemasz nic godnego uwagi. Na obiad poszedłem do Jan k a (Jan Żukowski) polskiej restauracyi, gdzie pełno zawsze Polaków, również jak w Caffé de la Régence, gdzie także z Polakami się po poznawać można. Wieczorem udałem się do teatru. Jest to najbrzydsza rzecz pod względem finansowym te teatru w Paryżu. Parter w najtańszem kosztuje 4 złp. Za to trwa wprawdzie przedstawienie od 7—12, lecz przez to staje się tak nużącym, że najpiękniejsza opera, najlepszy dramat, najdowcipniejsza komedia, męczą i usypiają. O ope-

rze nie wiele Ci będę mógł powiedzieć, bo wiesz, że się na muzyce nie znam. Tragedye, które widziałem, nie szczególnie były przedstawione, ale zato komedye! Niepodobna sobie wyobrazić téj lekkości, naturalności, niewymuszonego dowcipu, z jaką nawet podrzędne role w komedjach Moliera i wodewilach Scribego przedstawiane bywają. Boki zrywać trzeba. Dramat, od śmierci królowej francuzkiej sceny, Racheli, niezmiernie podupadł; i nie dziw. Charakter Francuzów jest tak czysto wesoły, skoczny, lekki; powaga taka im przeciwna, że wzniosłe dramatyczne charaktery, przez Francuza przedstawiane, wyglądają jak arlekin w todze rzymskiego senatora. Nazajutrz odwiedziłem Jardin des Plantes, a raczój ogród zoologiczny, w którym obok polarnego niedźwiedzia, tygrys z pustyni Afryki, obok niezgrabnego słonia, śliczna gazella, słowem zwierzęta ze wszystkich klimatów służą za podziw Francuzom. Przy obiedzie spotykałem jakiegoś młodzieńca, po którego postępowaniu poznałem, że jeszcze świeższy w Paryżu niż ja; pytam, kiedy przybył i z kąd. Odpowiada mi, że od wczoraj przybył tu z Franzensbadu, gdzie poznał dużo Polaków, a między innemi niejakich państwa S., którzy mu polecili odszukać swego kuzynka w Paryżu, ale, dodaje, Paryż długi i szeroki, gdzież ja go szukać będę. Ja na to: możebym Panu mógł w tém pomódz. Jak się nazywa osoba, której Pan szukasz? Wystaw sobie moje zdziwienie, gdy mi moje nazwisko wymienił. „Otóż widzi Pan“, rzekłem, „choć Paryż długi i szeroki, znaleźć się ludzie w nim mogą, bo ja jestem osobą, której Pan żądasz.“ Zapoznaliśmy się i rad byłem, że miałem towarzysza, bo między obcymi swój choćby nieznamy bratem się zdaje. Po obiedzie pojechaliliśmy

razem do lasku bułońskiego, tyle sławionego przez wszystkich zwiedzających Paryż, ale mi się tu niemal jak z brzegami Renu zrobiło. Niewiem, czy uprzedzenie z mojej strony, czy pora niedogodna, ale mi się wcale a wcale niepodobał, znacznie mniej od lasku Vincennes, sławnego z odbywających się tam pojedynków za czasów Burbonów. W Saint Cloud zabrałem przypadkowo znajomość z jakąś rodziną francuską, która mnie tak polubiła, że mnie na obiad zaprosiła. Uważałem, że w średniej klasie i w ludzie, sympatyi dla nas Polaków dużo. Poczciwi Francuzy, chociaż dzikie mają o całej Polsce wyobrażenia, jednakże lubią nas bardzo i litują się nad nami. Ale wracam do owego obiadu. Dotychczas w Paryżu prawdziwego francuzkiego jadła nie kosztowałem, bo u Janka polska kuchnia. Niezmiernie więc tych wychwalanych delicyj byłem ciekawy, zwłaszcza, że zamożność moich znajomych wykwinął mi obiecywała bankiet. Ale zawiedli się Grecy. Troja nie miała wprawdzie wysokich murów, bo owszem stoły we Francyi są niższe od naszych, ale za to niewiem czy dla mego wysokiego wzrostu oczy zbyt od półmisków były oddalone i ztąd przedmioty się pomniejszały, czy też z innej jakiej przyczyny, dość, że Liliput chyba był w stanie dostatecznie się nasycić. Osądź sam, kochany Józefie. Najprzód dano nam rosół, który miał jedną tylko wadę, to jest, że go za mało było; dalej jakąś jarzynkę na ciepło, potem jakąś sałatkę na zimno; następnie oliwki po dwie na osobę (oliwki są to małe owoce, składające się z dużej pestki, troszką tłustej masy pociągniętej); dalej znów jakąś jarzynkę. Myślę sobie: czyż nie bardziej stanowczego nie przyjdzie? Przyniesiono na drugie danie marynowanego węgorka i znów

sałatkę. Rozpacz mnie brać zaczynała, gdy wtém otwierają się drzwi i wnoszą półmisek z jarzynką, a na nim po kotleciku, wielkości dwuzłotówki, na osobę. „No, myślę sobie, teraz się obiad zacznie.“ Gdzie tam! przyniesiono talerz cukierków i wstano od stołu. Dodaj do tego, żeśmy się przed tym *quasi* obiadem, dla zaostrzenia apetytu, dwie godziny włóczyli po bulwarach, to jest ulicach drzewami wysadzonych, gdzie w pogodę masz kurz, a w deszcz rzadkie szare błoto. Wyszedłem głodny i zły naturalnie, i wpadłszy do pierwszej lepszej restauracyi, zjadłem ze 6 befsztyków, i obiecując sobie, że tylko najedzony chodzić będę na proszone francuzkie obiady. Oprócz bulwarów słuszniej są wslawione tak zwane „Passages“, to jest galerye szkłem kryte, długie niezmiernie, mające z obu stron składy najpyszniejszej urządzzone, a w wieczór czarodziejско oświecone. Co do urządzania składów, to Francuzi osobny mają talent. Wszedłszy nie można się od kupowania wstrzymać, takie wszystko zgrabne, ładne, ale drogie, bo tu przeciwnie jak w Holandyi; drą z cudzoziemca co się da, a wielką pod tym względem mają przenikliwość. Zanim usta otworzysz, już cię jako cudzoziemca powitają i co najdroższe rozłożą. Byłem w dwóch takich passażach: Panorama i Radziwił, tak nazwany od księcia panie kochanku, który w czasie swego tutaj pobytu tam się swoją hojnością, a raczej rozrzutnością, wslawił. Niema kraju, gdziebyśmy Polacy z tych przymiotów znanymi nie byli. Poszedłem na cmentarz Père Lachaise wraz z moim towarzyszem i głęboki mnie smutek przejął na widok grobów tylu ziomków naszych, którzy zdala od rodzinnego kraju, niedoczekawszy spełnienia najgorętszych życzeń, na tej obcej ziemi kości swe złożyli, ostatnie

swe słowa, spojrzenie śląc ku stronie, ku której za życia biegły wszystkie ich myśli i westchnienia. I myśl moja pobiegła ku tym dawnym i świeżym naszym mogiłom, i pierś się ścisnęła, oczy zwilgotniały łzami bólu i otuchy, i mimowolnie szepnąłem: „Boże, nie nasza, ale Twoja święta niech się dzieje wola.“ Nocą już prawie opuściłem ciche miasto zmarłych, do którego chłodny wietrzyk raz poraz odgłos wrzawy i turkotu przynosił. A w tym wirze różnorodnych rozgłosów taka mnie porwała za ojczyznę tęsknota, że nazajutrz wyjechać postanowiłem. List mój o 24 godzin mnie poprzedzi; chciałyby być nim, by jak najprędzej swojskiem odetchnąć powietrzem i wszystkich moich powitać.

---

## A f r a,

czyli:

## Dwie Missyonarki.

**Powieść dla dzieci**

przez

G..... P.....

---

## A f r a.

Ranek był śliczny i ciepły. Wschodzące słońce ozłociło drzewa i zioła, odbijając się w kropelkach rosy, co drżały na kwiatkach, listkach i trawie. Róża wznosiła dumnie ku słońcu zwilżoną od rosy głowę, a słowik wśród zarośli głosił cudowne pie-

nia Stwórcy swemu. Zaiste pięknym jest ten nasz świat boży w taki ranek letowy. Gdzie nogą stąpniesz, znajdujesz niezliczone przyczyny do wielbienia Stwórcy w Jego dziełach. Gdy wnijdziesz do lasu, witają cię tam tajemniczym szumem odwieczne dęby, buki i sosny, i zdają się przemawiać do twój duszy słowa z dalekiej jakiegś szczęśliwszej przeszłości; zdają się przypominać ci owe czasy, kiedy w ich cieniu przechodziły się wolne, swobodne pokolenia, nie pogńębione przykreml losy, tak jak ty dzisiaj, mój synu! Śpiew ptasząt, gnieźdzących się wśród ich konarów, zdaje się budzić uśpioną nadzieję w twém sercu, i mówić ci, iż ten, który tym drobnym śpiewakom dostarcza żywności i schronienia, zdoła w jednej chwili wydzwignąć ludzi ze złej doli, w którą ich wtrąciła karząca Jego prawica. Gdy staniesz wśród zielonych łąnów, ileż tam znów piękności przyrodzenia przed twém rozwija się spojrzeniem! Tam wietrzyk poranny roznosi daleko orzeźwiający wonie polnych kwiatków, wśród trawy świegocą makołągwy, latają różnobarwne motylki, mruczą strumyki, bręczą pracowite pszczołki. Zgoła, gdzie tylko staniesz, wszędzie trzeba ci uwielbiać cudowne utwory boskie, i czujesz obecność tego Boga, którego kochać całą duszą jest właściwem powołaniem twém na świecie.

W taki to piękny poranek siedziała w ogrodzie, we wsi Kruszynie, rodzina państwa Resińskich. Składała się ona z ojca, matki, dwóch córeczek i babuni, która, dla leczenia się, przybyła z miasta, gdzie zwykle mieszkała, na kilka tygodni do dzieci. Była to osoba w wieku, ale jeszcze dość żwawa, i pomimo swój słabości zawsze wesola i miła. Przeżywszy wiele na świecie, umiała niejedne zabawne i naucza-

jące powiastki opowiadać swym wnuczkom. To też po ukończonych lekcjach, które się codziennie przy mamie odbywały, było to dla panienek największą przyjemnością, usieść z robótką w rękę około babuni i słuchać miłego jęj opowiadania.

„Dziś jeszcze tak wcześnie“, mówiła dwunastoletnia Marynia, „przed godziną nie rozpoczniemy naszych lekcyj, ranek tak cudowny, tak miło siedzieć na dworze, bądź tak łaskawa babuniu i opowiedz nam ową tak dawno przyobiecana powiastkę o murzynce Afrze.“

„Bardzo prosimy babuniu“, dodała błagalnym głosem mała Bronisia, wznosząc ku babce szafirowe oczka, w których błękit pogodnego nieba odbijać się zdawał.

„Iowszem“, odpowiedziała łaskawie babunia. „Chętnie pozostanę z wami w ogrodzie i opowiem wam o dwóch misyonarkach zdarzenie, które ma być prawdziwem, lubo niewiem, czy ono będzie dość zajmującym dla waszych młodych i wesołych umysłów.“

„Wszystko, co ty powiadasz babuniu, zajmuje nas niewymownie“, rzekły jednogłośnie dziewczęta.

Więc po śniadaniu, gdy rodzice odeszli do swych dziennych zatrudnień, babunia poprawiwszy się na trochę niewygodnej brzożowej kanapie w altanie, tak swym wnuczkom opowiadać zaczęła:

„Wiecie już, moje kochane dziatki, że najgorętszą częścią ziemi naszej, jest Afryka. W tych krajach, gdzie słońce dopieka tak mocno, iż skwar jego przemienił tam braci naszych w czarnych murzynów, deszcz orzeźwiający jest niezmiernie rzadkiem zjawiskiem, a tamtejsi mieszkańcy pogrążeni w głębokiej ciemności umysłowej, przypisują go zwykle czarodziejskim siłom.“

Niezmierne przestrzenie piaszczyste, rozciągają się tam po mil kilkadziesiąt, a w nich przebywają rozmaite dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy, całe gromady szakalów, hyen i innych zwierząt drapieżnych. Lecz wśród tych pustyń napotyka czasem znużony wędrowiec źródła czystej wody, a przy nich palmowe drzewa, które pożywnym owocem przywracają mu starogane długą podróżą siły. Takie miejsca nazywają się oazą i służą nieraz na mieszkanie lub schronienie strzelcom afrykańskim, przychodzącym w te odludne strony na łowy dzikich zwierząt.

Ludzie tamecznych okolic, jak wam już powiedziałam, są zupełnie czarni i po większej części dzicy i okrutni, lubo znajdują się też pomiędzy nimi narody dobroduszne i pracowite. Nieznają prawd religii naszej, tworzą sobie rozmaite wyobrażenia o bóstwie i oddają cześć należną Bogu, słońcu, gwiazdom, a nawet różnym zwierzętom. Niezmordowani w rozgłaszaniu słowa bożego kapłani nasi, starają się i w tych dzikich zakątkach rozszerzać oświatę i prawdziwą wiarę Chrystusa, i wielu już misyjonarzy padło ofiarą swego religijnego zapału, to jest, zostali zamordowani przez dzikich mieszkańców tamtejszych, lub stracili życie, niemogąc znieść upałów afrykańskiego słońca, i w bardzo jeszcze mało miejscach przyjął się ten zasiew święty.

Obyczaje dzikich tych ludzi są zupełnie odrębne od naszych; mieszkają po większej części w chatkach zrobionych z trzciny bambusowej i chodzą zwykle bez wszelkiego odzienia. Głównym ich zatrudnieniem jest chodowanie bydła, rybołówstwo i polowanie.

Do tych to krajów, które są bardzo żyzne i obfitują w wiele produktów, co u nas stały się niezbędnymi, wybierają się często, jak żeście to

już zapewne słyszały i czytały, całe karawany ludzi i przebywają przy pomocy wielbłądów najgorętsze pustynie. Dawniejszemi czasy wiele ich umierało tam z głodu i pragnienia, dziś lepiej się już zaopatrują i zdołają przebywać najniebezpieczniejsze okolice.

Taka to karawana wybrała się w podróż przed kilkunastu laty i zmuszona była przebywać pustynią Saharę. Zaraz na wstępie do tego piaszczystego morza, zaskoczył ich orkan okropny, który zasypał prawie wszystkie zwierzęta, wozy i ludzi.

W bliskości téj pustyni, wśród lasu palmowego, żyła stara murzynka Goma z jedyną córką Afrą. Żywiły się one podług zwyczaju murzynów owocami i rybami, które mała Afra łowiła wędką w pobliskiej rzeczulce. Całym ich majątkiem była chatka z trzciny bambusowej, kilka sprzętów z owoców kokosowych i cztery lamy, które im dostarczały mleka i masła. Lecz cóż więcej ludziom żyjącym w pierwotnym stanie natury potrzeba do szczęścia? Miłość i jedność słodziła im każdą chwilę życia, które żadną chmurą troski nie było przyćmione.

Po owéj okropnéj burzy, murzynka i jéj córka odważyły się były wyjść po za obręb swego mieszkania. Słyszając poprzednio rozpaczliwe ludzkiego głosu wołania i lękliwe ryczenie wielbłądów, domyśliły się, iż karawana jaka została zaskoczona przez burzę, więc udały się w tę stronę, chcąc się przekonać, czyby jeszcze kogo ocalić nie mogły. Idąc tam, znajdowały po drodze kosztowne strusie pióra, które piękne te ptaki, mieszkańce pustyni, uciekając przed burzą gubiły.

Goma zbierała je chciwie, a przymierzając je do czarnej jak heban twarzy swéj młodéj córki, uśmiechała się z zadowoleniem, i klaskając raz po raz

w dłonie, wołała radośnie: „Afra piękne dziewczę! drugiej takiej Afry nie może być na całym świecie.“

Lecz Afra niezważała dzisiaj na słowa matki, ona zdawała się czémś inném zajętą, spoglądała swemi bystreimi oczyma badawczo na każdy pagórek piasku, usypany przez burzę, czy on nie pokrywa jakiej ofiary.

Wtém oczy jój się zaiskrzyły, krzyknęła i pobiegła naprzód wołając: „matko, matko, tam leży biały człowiek!“ Goma pobiegła za nią i wkrótce ujrzała człowieka przysutego na wpół piaskiem, który zdawał się jeszcze oddychać.

„Pobiegnij Afro“, rzekła dobrodusznna Goma, „przynies wody, może go jeszcze ocalim.“

Afra zawsze gotowa do dobrych uczynków, przyniosła natychmiast w wydrążonym orzechu kokosowym chłodnej wody, podczas kiedy Goma silnemi rękoma wyciągnęła z piasku omdlałego człowieka. Niedługo trwało, gdy Europejczyk przyszedł do zmysłów i spoglądał z podziwieniem na swą wybawczynię.

Był to Hiszpan, nazwiskiem Sautor, dowódzca karawany. Obiedwie murzynki zaprowadziły go do swój chatki, zrobiły mu z liści palmowych miękkie posłanie i przyniosły pożywienie, na jakie zdobyć się zdołały. Potém Goma wskazując na Afrę, rzekła do niego: „Ona umie po hiszpańsku“, i oddaliła się do swych zatrudnień.

„Jako“, zapytał Europejczyk w największym zdziwieniu, „ty mówisz naszym językiem? Powiedz, zkadże nauczyłaś się po hiszpańsku?“

„Byłyśmy dawniej z mą matką w niewoli u bardzo okrutnego pana“, mówiła murzynka. „Tam moja matka prawie ciągle płakała. Chociaż bardzo jeszcze

byłam małą, pamiętam, jakie okropne odbierała chłosty i jak się krew z ran jęj lała.

„Jednej nocy, podczas gwałtownej burzy, moja matka owinęła mnie w chustkę, wzięła mnie na ramiona i uciekła ze mną z domu naszego złego pana. Przez wiele dni ukrywałyśmy się po lasach, aż na koniec przyszłyśmy tutaj w rodzinne strony mej matki i żyjemy tu spokojnie już od lat wielu.

„Przed kilku laty przybył do naszej chatki jakiś człowiek biały z bardzo dalekich stron. Był on bardzo słaby i chory, i długo leżał u nas, a myśmy go pielęgnowały, jak brata. Jam mu zbierała różne rośliny, z których on sobie robił lekarstwa. W chwilach wolnych od ciężkich boleści, które go zwykle dręczyły, uczył mnie po hiszpańsku, mówił tak wiele i pięknie o swoim Bogu, którego był kapłanem, o niebie, gdzie dobrych ludzi czekają niepojęte rozkosze po śmierci. Opowiadał z takim żywym uczuciem o Synu boskim, który przyszedł na świat, by ludzi oczyścić z grzechów i objaśnić ich o powinnościach, jakich Bóg po nich wymaga; o Matce tego syna boskiego, która z pokornej służebnicy stała się królową nieba i ziemi, że całe życie tak słuchać bym go była chciała. Lecz los pozbawił mnie przedko tego pocieszyciela w ciemnej nocy mego życia, śmierć nielitościwa przyspieszyła nasze rozstanie, umarł i zostawił mnie samą wśród mej ciemnoty, a blade światełko, które rozniecił w mej duszy, zagasło znowu i niezabłyśnie już nigdy może.

Na kilka dni przed śmiercią prosił mnie, bym na jego grobie krzyż drewniany postawiła, i oddał mi swą mandolinę, na której grywał tak rzewnie i śpiewał tak pięknie, i mnie także na niej grać nauczył. Chowam ją też sobie jak świętość jaką i czasami

tylko wieczorem, lub wśród ciemnej nocy, usiadłszy sobie na grobowym kamieniu mego przyjaciela, który tam w cieniu palmy jest pochowany, śpiewam sobie długo żałośnie. Wtenczas to obraz tego białego człowieka stoi tak jasno przedemną, jak gdyby przemówić miał do mnie. Lecz prędko przebudzę się z tego słodkiego oblędu, wkoło mnie tak smutno, samotno i tylko głosy lwa i tygrysa rozlegają się w pustyni, powszechne przerywając milczenie.“ I rozczulona murzynka ocierała rzęsiste łzy, które po jej czarnych licach płynęły.

Sautor, był to człowiek chciwy zysku, kupiec jakich wielu na świecie. On we wszystkim szukał tylko korzyści dla siebie. Twardy i skryty, umiał pod ujmującą powierzchownością ukrywać serce jak gład stwardziałe. Ujrzawszy zajmującą murzynkę, słysząc ją mówiącą z czuciem i rozsądkiem, przyszła mu myśl, jakie korzyści przynieśby ona mu mogła, gdyby ją przywiózł do Europy i kazał jej występować na teatrze. Rzekł więc do Afry z udanem rozrzewnieniem:

„Więc Afro pójdz ze mną; w moim kraju znajdziesz wielu takich ludzi, co o naszym Bogu powiadać ci będą. U nas tak pięknie, takie wielkie domy, miasta i ogrody, powietrze zawsze tak miłe i letnie, a słońce nie pali tak gwałtownie jak u was. Znajdziesz tam i mandoliny piękniejsze od twojej. I wszystko, czego zapragniesz, będzie na twoje rozkazy; stroje tak pyszne, złote łańcuchy, suknie czerwone, kolorowe wstęgi, pióra i kwiaty przesłiczne.“

Oczy murzynki zabłysły radością, namiętna żądza rozkoszy zdawała się budzić w jej duszy, lecz potem spuściwszy wzrok ku ziemi, zapytała z cicha: „Panie, ale czy byłabym wolną?“

„Wolną zupełnie“, odpowiedział Hiszpan. „Wszystko, cobyś chciała, byłoby na twe usługi. Miałabyś na twe rozkazy służących całe grono, dom piękny, a przy nim ogród pełen woniących krzewin i kwiatów, z wytryskującymi wodami, które spadając tworzą stawki, po których pływają śnieżyste łabędzie. Wszystko Afro byłoby twojem, gdybyś opuścić chciała twój kraj gorący i dziki.“

Przez chwilę zadumała się murzynka, potem stanęła przed Hiszpanem i rzekła stanowczo: „Nie, ja nie opuszczę tego miejsca, ani mojej matki, ani méj ojczyzny. Nie chcę bogactwa i strojów, gdym przeznaczona do biedy, umrę gdzieś się zrodziła. I dziewczyna wybiegła z chatki i zniknęła wśród lasu palmowego.

Lecz Sautor nie dał się temi słowy odsfraszyc. Był to człowiek, który raz powzięte zamiary musiał koniecznie przywieść do skutku. Widzieć Afrę tańczącą i śpiewającą na scenie, zbierać pieniądze, które się na tak rzadkie zjawienie sypać musiały, stało się najgorętszym życzeniem Hiszpana, i postanowił nie wrócić do Europy bez Afry.

Nazajutrz Sautor znalazł w pobliżu oazy jeszcze dziesięciu ludzi ze swojej karawany, kilka wozów i wielbłądów. Wiedząc teraz o świeżej wodzie, łatwo mu było posilić swych towarzyszy. Opowiedział im swój zamiar, a oni obiecali mu dopomóc w porwaniu biednej murzynki.

Następującej nocy księżyc świecił jasno na ciemnym niebie, a noc była chłodna i cicha. Afro siedziała w cieniu palmowego drzewa pod krzyżem, grała na mandolinie i śpiewała pobożny hymn, którego ją był poczciwy missyonarz nauczył. Wtém ukazał się przed nią Hiszpan w towarzystwie kilku

ludzi, którzy w milezeniu porwali Afrę, wsadzili na wielbłąda ukrytego w zaroślach, i wkrótce wszyscy zniknęli wśród cienistego lasu.

## Hersylia.

Sautor prowadził w Madrycie, stolicy hiszpańskiej, życie bardzo wystawne. Najpierwsi panowie hiszpańscy bywali w jego domu i wiele okazywali przyjaźni. Był on już od wielu lat wdowcem i miał tylko jedną córkę, imieniem Hersylię. To dziecko, jedyna pamiątka po zmarłej jego małżonce, było tą istotą wybraną, która zdołała czasem zmiękczyć serce ojca, oziębłe na wszystkie ludzkie uczucia.

Hersylia wychowaną była w klasztorze i dopiero przed rokiem wróciła była do zbyt kownego domu ojcowskiego. Ta dziewica czysta i pobożna, była pierwszą, która przyjęła ojca przybywającego z dalekiej podróży i przyprowadzającego ze sobą młodą murzynkę.

Widok Hersylii zrobił na Afrę niezmiernie wrażenie. Widziała ona w niej istotę jakąś nadziemską, której się z nieśmiałą czią przypatrywała zdaleka. Hersylia zaś przywykła widzieć w każdej istocie stworzenie Boga, powitała ją ze zwykłą słodyczą.

Hiszpan niewspomniał do córki o swych z Afrą zamiarach, jednakże zaraz nazajutrz sprowadził nauczycieli tańca i śpiewu, którzy mieli Afrę do występowania na scenie przysposobić. Biedna murzynka płakała rzewnie z początku, tęskniła za matką, za krajem, za gorącym słońcem Afryki, które swemi promieniami rozgrzało nawet jej dziką duszę. Tutaj chłodno jej było, pomimo blasku jaskrawych świateł, smutno mimo śpiewów i tańców, smutno pośród cu-

dzego świata, pośród obcych ludzi! Czuli się samotną, bo ciemno było w jej duszy, bo nieznała Tego, który jest wszędzie; niewiedziała, że Bóg jest przy niej, że czuwa nad nią, że ją strzeże! Płakała gorzko biedna, ale widząc, że jej to niepomocze, poprzestała nakoniec. Ochotnie wyprawiała skoki, grała i śpiewała, gdy jej kazano, chociaż w duszy przeklinała Europejczyków, którzy ją tak haniebnie porwali, i tak niewdzięcznymi się dla niej okazali. Raz tylko jeden, chodząc po mirtowym gaju w ogrodzie swego pana, zagrała sobie po dawnemu na ukochanej mandolinie, lecz potem jakoby wszystkie afrykańskie uczucia wzbudziły się w jej duszy, porwała mandolinę i roztrzaskała ją o kamienną ławeczkę na boku stojącą.

Pan jej obchodził się z nią bardzo dobrze. Obsypywał ją strojami, kwiatami, kazał ją kształcić w rozmaitych naukach. I wkrótce Afra, to dzikie dziecię pustyni, stała się ulubionym zjawiskiem na teatrach wielkiego świata. Lubo czarna jej postać była, jednakże pełna gracy; jej oko, w którym wrzał ogień afrykańskiej duszy, a przytém jakaś tajemna malowała się tęsknota, jej głos miły i wdzięczny, zajmowały niezmiernie każdego, kto ją widział. Lecz cóż się działo w sercu biednej murzynki? Ona wśród powszechnych uwielbień, czuła się tak samą, tak samotną na świecie, jak każdy człowiek, w którego duszy niezajśniał promyk wiary, nadziei, miłości! Afra przeczuwała, na czém jej zbywało, a te ciągle oklaski, ten zgiełk światowy, dręczyły ją i stawały się coraz nieznośniejszemi.

Pobożna Hersylia patrzyła z początku z odrazą na swawolną murzynkę, która w błyskotliwych strojach tańcząc z tamborynem, wystawioną była na wi-

dok publiczny. Jednakże Afra była w jej domu, zmuszona była widzieć ją codziennie, w ciągłej z nią być styczności. Z przyrodzenia dobra i tkliwa Hiszpanka, mając rozum wykształcony i bystrość rzadką w wieku tak młodym, poznała wkrótce smutny stan duszy murzynki, starała się więc zbliżyć ją do siebie i ośmielić łagodnym obchodzeniem.

Raz będąc razem, Afra wzięła mandolinę i zaśpiewała piosnkę hiszpańską, rzewną, wdzięczną, jak wszystkie melodye tego kraju. Hersylia słuchała z uwagą tej pieśni, a nakoniec łzy rześiste skropiły lica młodej dziewczyny.

„Pani, czego ty płaczesz“, zapytała zdziwiona murzynka?

„O, bo tę piosenkę słyszałam niegdyś śpiewaną od dobrze mi znajomego zakonnika, który później poszedł w dalekie kraje, by nawracać dzikich“, odpowiedziała Hersylia. „Już wiele lat temu“, mówiła dalej, „a nikt o nim niesłyszał nic więcej, zapewne śmierć zaskoczyła go wśród dzikich pustyń Afryki. Był on jedynym przyjacielem mej matki, on ją wspierał swemi radami w różnych przykrościach tej cierpiącej drogi; a gdy śmierć nieubłagana w inne ją miała zaprowadzić światy, przysposobił ją na tę długą podróż i zajął się później losem sieroty, która po niej została. Ten to szlachetny człowiek skłonił ojca mego, by mnie oddał w ręce pobożnych niewiast, i dopiero, gdy mnie widział bezpieczną, pożegnał mnie czule, pobłogosławił i opuścił naszą ojczyznę, ażeby się udać w obce kraje i tam rozszerzać światło naszej wiary. Mój Boże, cóż się z nim stało?“ dodała z westchnieniem.

„Chcesz wiedzieć pani?“ rzekła żywo murzynka. „Posłuchaj, ten sam człowiek rozniecił w mej duszy

światło, które dotychczas, niby we mgle jesiennej, błyszczy słabo w mej duszy. Niestety, zanadto było słabe, ażeby trwało długo, i z śmiercią owego zakonnika, który umarł na naszej pustyni, zgasło prawie zupełnie, zostawiając tylko jakieś błogie wspomnienie. Pani, wskrześ tę iskrę na nowo, naucz mnie kochać i wielbić Tego, który jest tak wszechmocny. Naucz mnie przykazania Jego zachowywać i przebaczać bliźnim, a potem może dobroć Jego dozwoli wrócić mi do mej ojczyzny, może dozwoli oświecić więcej jeszcze z moich dzikich braci.“ I Afra uklękła przed Hersylią, oblewając łzami ręce Hiszpanki.“

Rozrzewniona Hersylia obiecała we wszystkim oświecać murzynkę, i odtąd poświęcała codziennie kilka godzin na czytanie ksiąg pobożnych i nauczających, na ćwiczenie się w różnych religijnych przedmiotach z Afrą. Lecz przed Sautorem ukrywały się z tém troskliwie, bo on nie byłby pozwolił na to, lękając się, by Afra nie straciła przez to ochoty występowania na scenie. Ale murzynka uważała odtąd chwile, które musiała spędzać w tych świętych otoczeniach, jako jedno z poświęceń, jakich wymaga religia Boga - człowieka, który najwznioślejszy przykład poświęceń dał nam na ziemi. Zwykle, gdy wróciła z tańców przymuszonych, przyszła do cichej komnaty Hersylii, a zrzuciwszy stroje i błyskotki, w postawie kornej i pobożnej uklękła obok swjej nauczycielki i w gorących modłach czerpała siły do znośnienia swego losu.

Wkrótce przyszła chwila, w której Afra przez chrzest święty została przyjętą w poczet prawych chrześcian. Była to uroczysta chwila dla obudwóch przyjaciółek. Hersylia była również wzruszona, jak

młoda katehumenka, a w jej duszy powstała nagle myśl wielka i śmiała. Rozniecać w duszach dzikich światło jasne, przynosić do chatek murzyńskich te wielkie, wzniosłe idee, nieść pociechę temu ludowi pogrążonemu w niewoli i ciemności, zdawało jej się tak wzniosłym i pięknym zadaniem, iż przedsięwzięła opuścić ojca, ojczyznę i udać się z Afrą, która na chrzcie św. imie Maryi odebrała, do Afryki, by tamże nawracać murzynów.

Co człowiek z silną przedsięwzięciem wolą, to i wykonać potrafi. Hersylia przewyciężyła wszelkie przeszkody, gniew ojca, żalującego nietylko niezmierną korzyści, którą mu Afra przyniosła, ale i córki jedynaczki, i udała się w daleką podróż na morze. Hiszpania daleko jest bliższą Afryki, niżeli północne kraje nasze; potrzebowały tylko pobożne dziewice wsięść w Kadyx, mieście portowem hiszpańskim, na okręt, a ten przewiózł je wkrótce na inną część świata. W niedługim więc czasie mogły się już zająć świętym zamiarem. W A.... znalazły kilku pobożnych misyonarzy, którzy wspierali je swemi radami w tych krajach obcych.

Młode misyonarki w ubiorze pielgrzymkim odbywały po większej części pieszo swą podróż. Chodziły od siola do siola, od chaty do chaty, opowiadając mieszkańcom nauki Chrystusa, pocieszały zasnuconych, leczyły chorych, dawały rozmaite rady matkom, nauczały je różnych robót europejskich, oświecały je o ich powinnościach względem dzieci, powiadały im o wzniosłych nagrodach, które czekają ludzi dobrych w innym życiu. Dziky mieszkańcy wzruszeni niezwykłym widokiem dwóch dziewcz w pielgrzymkim stroju, chętnie przyjmowali je w swych chatkach i słuchali słów ich z uwagą.

Marya była zwykle tłumaczką słów Hersylii, bo ta niemogła się tak prędko nauczyć barbarzyńskiej ich mowy, którą Marya doskonale знаła. Ale podróże ich połączone były z niewymownymi trudnościami. Musiały często przebywać okolice puste i piaszczyste, w których upały nieznośne dokuczały, szczególnież Hersylii, która do nich nie była przywykła. Głód i pragnienie dręczyły je często, a widok dzikich zwierząt przejmował je drżeniem i przestraczem. Nakoniec siły pobożną Hiszpankę zaczęły opuszczać, była tak słabą, iż często po kilka dni musiała odpoczywać w chatkach, gdzie się raz dostała. Znosiła wszelkie cierpienia z anielską cierpliwością, aż nareście jednej nocy anioł śmierci stanął nad jej posłaniem z liścia palmowego, i zabrał ze sobą tę duszę tak czystą i wzniosłą, która się poświęciła dla miłości Jezusa Chrystusa, ażeby ją zaprowadzić do niego i oddać jój tam palmę nagrody.

Wkrótce przez tamecznych missyjonarzy doszła ta wieść do ojca, który po stracie córki zmienił zupełnie swój sposób życia i stał się na starość przelozonym klasztoru OO. Franciszkanów.

Afra, czyli Marya zaś żyje podobno dotąd w Afryce, i jest wielką pomocą pobożnych missyjonarzy w oświecaniu ciemnego swego ludu.

Tutaj babunia skończyła swe opowiadanie. Dziewczynki czyniły jeszcze rozmaite pytania o dalszym losie Afry, ale że ranek już był minął, a bystre strzały słońca przeszywały nawet gęste listki altany, więc babunia, obiecawszy wspomnąć im jeszcze co później o tym przedmiocie, złożyła swoją robótkę i udała się do chłodnego salonu, gdzie ją państwo Resińscy oczekiwali.

## Pożegnanie M.....

**B**ociany ciągną z dalekiej krainy,  
 Jaskółka miga w wesółym polocie,  
 Żelazne więzy kruszą fal głębiny,  
 Ziemia rozkwita po lodzie i slocie.  
 Zanócił słowik w Miąskowskim ogrodzie  
 Radośną głośną pieśń na powitanie,  
 Żurawie w lskniącej płyną Obrą wodzie,  
 Wesole zdala słyhać ich śpiewanie.  
 Napróżno śpiewasz w ogrodzie słowiku,  
 Napróżno księżyc srebrzy stawu fale,  
 Pieśń ci nie zabrmi w kwitnym gaiku,  
 Pieśń zanucona w zachwycie, w zapale!  
 Napróżno bliżej nucisz pod oknami  
 I przez szkło zaglądasz w zapyłone kraty,  
 Nikt cię nie słyzy, wiatr igra szybami,  
 A wewnątrz obraz zniszczenia, zraty!  
 Białe tam ściany sterczą bez ozdoby,  
 W pokojach pustych czasem nietoperze  
 Zaszumią i znów spokojność żałoby  
 Panuje w smutnej spustoszenia sferze.

\* \* \*

Bywaj mi zdrowa, droga rodzinna kraino,  
 Żegnam cię bujna, wonna nad Obrą dolino,  
 I was srebrzyste wody od wschodu goniaące  
 I was wysmukłe brzozy żałośnie szumiące  
 I was w około pagórki posiane drzewami  
 I polnych róż i głógów wieńczone krzakami.

\* \* \*

I ciebie żegnam lipo cienista w ogrodzie,  
 Ciebie z darni ławeczko przy czystej stawu wodzie,

I was kochane zawsze zielone chłodniki,  
 Was różnemi kwiatkami ozdobne trawniki,  
 I ciebie w małej studni, zawsze czysta woda,  
 Co w skwarnych lata dobach byłaś mi ochłodą.

\* \*

Zdrów mi bywaj ogrodzie. Tu niegdyś bywało  
 Gdy słońce złotą strzałą w zachodzie błyszczowało,  
 Gdy mocniej poruszone wiatrem nocnym fale  
 Kołysały się szybko, tęskne nuąc żale,  
 Ja chłopczyna bez troski gonilem motyle  
 I rozkoszne pędziłem błogie dziecka chwile.

\* \*

Tu gdy błędne księżycy srebrzystego strzały  
 Bzu krzaki, tulipany, róże oświecały,  
 Dłoń w dłoń z kochanemi siostrami biegałem  
 I cieszyłem się z niemi i z niemi śpiewałem,  
 Tu samotnie w cieniowym gaiku marzyłem  
 I o szczęściu dalekiem, a nieznanem śniłem.

\* \*

Miejsca lube méj duszy, dzisiaj śniegu fala  
 Kobiercami lśniącemi, białemi was złała,  
 Wkrótce wiosenne słońce stopi śnieg i lody,  
 Znów zakwitniesz dolino, zaszumiecie wody,  
 I słowik znów zaśpiewa obok krzaku róży  
 I do gniazda ptaszęta powrócą z podróży.

\* \*

I w szatę szczęścia wiosna wszystko przyodziewa  
 I wszystko się raduje, pieśń wesela śpiewa,  
 Ale lzy w mojem oku, o na całej ziemi  
 Nie masz dla mnie radości, oczami tęsknemi  
 Za wami patrzę miejsca, kochane pamiątki,  
 Jedyne szczęścia dawno minionego szczątki.

